

Napisał:
**Jacek
Nawrot**

**Druga
wyprawa
profesora**

A W PATAFII NIE BARDZO

Pstrikoi!



**ILUSTROWAŁ
WIKTOR
SADOWSKI**

*Institut Wydawniczy
Nasza Księgarnia
Warszawa * 1984*

**POWIEŚĆ
DLA DZIECI
MŁODSZYCH,
STARSZYCH
I CAŁKIEM
STARYCH**

Rozdział pierwszy, w którym od razu poznajemy postać najdzielniejszego bohatera książki oraz obydwaj jego nazwiska: prawdziwe i fałszywe

Pan Arkadiusz K. Fuś siedział na ławce w parku i ostrzył ołówek. Ostrzył i strugał. Strugał i ostrzył. Wiórków koło ławki przybywało. Z ołówka został mały kuścyczek; pan Arkadiusz K. Fuś wrzucił go do kosza i sięgnął do kieszeni marynarki po drugi, całkiem nowy. Ten też zastrugał do końca.

Strugał właśnie czwarty ołówek, kiedy podszedł policjant.

— Zanieczyszczamy środowisko, zanieczyszczamy, tak? Dokumenty poproszę. Arkadiusz K. Fuś, poeta... pięknie. Poeta i taki nieświadomiony, kto by pomyślał? Pięćdziesiąt pięć mandatu pan płaci. Mam nadzieję, że pan to zaraz sprzątnie. I niech się pan zastanowi nad swoim postępowaniem. Proszę, pana dokumenty.

Zasalutował i poszedł.

Pan Fuś rozejrzał się dookoła, park był pusty. Pokręcił guzikiem od spodni dwa razy w prawo i raz w lewo, z guzika odskoczyła mała pokryweczka. Pan Arkadiusz wydłubał z wnętrza zwitek cieniutkiej bibułki i odczytał jeszcze raz:

„BRR 27. Tu tu, pi, ay 13 U.U. Bu III”.

Bez klucza szyfrowego wiedział doskonale, co to znaczy:

„Do Wywiadowcy Specjalnego Trzeciego Wydziału, kapitana Aramisa Frumenta. Stawić się 13 minut po podwieczorku w Centrali u Szefa Generalnego”.

Bardzo niewielu pracowników wywiadu widziało samego Wielkiego Szefa na własne oczy. A ci, którzy widzieli, nie mówili nic.

Wiadomo było tylko, że kiedy z bramy gmachu wysuwa się cichutko i miękko czarna limuzyna z zasłoniętymi firankami, to właśnie On gdzieś wyjeżdża w niezwykle ważnych sprawach, które oprócz niego zna może dwóch, a może trzech ludzi.

Kapitan Aramis Frument rozejrzył się jeszcze raz, wyjął z kieszeni nie dostrugany do końca czwarty ołówek, nachylił się nad koszem i dokończył roboty. Potem z kamienną twarzą, spokojnym i zdecydowanym krokiem, ruszył w stronę Alei Repetentów, gdzie była Główna Centrala.

Rozdział drugi, który mówi mimochodem, jak pokutują nieodpowiedzialni docenci, brutalni kaprale i lekko-myślny agent QQ 82

Szef Generalny skończył podwieczorek, otworzył okno i wysypał okruszynki na parapet, dla wróbli. Potem wyjął z kieszeni grzebyk, przczesał dwie kępki siwych włosów, które miał nad uszami poniżej łysiny, i podszedł do ogromnego biurka.

Na biurku było siedem mikrofonów, pięć małych ekraników telewizyjnych, cztery zwykłe telefony, kilka dziwnych urządzeń z klawiszami i rząd guzików do naciskania w różnych kolorach. Nikt nie wiedział, że znacznie więcej takich guzików jest pod spodem biurka.

Poza tym na biurku stał jeszcze mały kaktusik w doniczce i zdjęcie pieska z długimi uszami.

Szef Generalny nacisnął jeden z guzików. Coś zachrypiało i biurko powiedziało przez nos:

— Ob. Ciach z raportami.

— Doskonale. Proszę wpuścić — powiedział Szef Generalny i podciągnął spodnie. Stale mu zjeżdżały z okrągłego brzuszka, a szelek nie nosił.

Kawałek ściany rozsunał się z cichym brzęczeniem i w gabinecie stanął ob. Ciach. Miał kamienny wyraz twarzy i lekkiego zeza.

Był to człowiek tak tajemniczy, że nikt nie znał nawet jego stopnia ani funkcji. Wiadomo było tylko, że często widuje Generalnego Szefa i że jest mu bardzo potrzebny. A poza tym, jeśli ob. Ciach wzywał na rozmowę kogokolwiek z pracowników Centrali, nie oznaczało to niczego dobrego. Nawet, jeżeli wezwany był pułkownikiem.

— Masz coś ciekawego?

— Raczej nie. Wszystko działa bez zarzutu. Były drobne komplikacje z agentem QQ 82, musiałem go zmienić.

— Tak? Co to było?

— Miał się dyskretnie zaopiekować ambasadorką, żeby nie wpadła w złe towarzystwo i nie narobiła tatusiowi kłopotu. Tymczasem opiekował się niedyskretnie, potem się zakochał, potem się upił z rozpaczy i wołał: „Pani nie wie, kto ja jestem!” Moi ludzie zastali go w hallu Supercontinentalu wleczoną pod pachy do taksówki przez ambasadorkę. Dosyć silna dziewczyna, QQ 82 waży 90 kilo.

— Co z nim zrobisz?

— Zdegradowałem do QQ 155, zawiesiłem w służbie, posłałem na reedukację.

— Gdzie?

— Do zapylania kwiatów śliwek. W Instytucie Śliwkologii nieodpowiedzialni docenci wytruli środkami chemicznymi wszystkie pszczoły, muchy i inne takie skowyrki, nie ma kto zapylać. Kieruję tam przeważnie do pracy policjantów, którzy brutalnie nadużyli swoich uprawnień, i podoficerów, którym udowodniono nieludzkie traktowanie rekrutów. Każdy z nich ma pędzelek, chodzą i zapylają śliwki. Z pręcików ten pyłek pędzelkiem, na słupek. W każdym kwiatku. A docenci noszą drabinki.

— Psycholog z ciebie...

— Tak jest, panie generale.

— Masz jakieś dodatkowe wiadomości o BRR 27?

— Frument? Tak. Kiedy dostał wezwanie, zestrugał cztery ołówki. Zapłacił mandat, bo naśmiecił koło ławki.

— Ajajaj... Taki zdolny wywiadowca... Taki bystry, energiczny i zdawałoby się — żelazne nerwy...

— Panie generale, on struga, jak się zdenerwuje, to fakt. Ale

tylko wtedy, kiedy wie, że się może odprężyć. Nigdy się nie zdarzyło, żeby zaczął strugać w środku akcji. Jest jak dotąd niezawodny.

— Taak... — szef popatrzył na zegarek. — Już czternaście minut po podwieczorku. Więc dobrze, wezwij go. Aha, czekaj, byłbym zapomniał: czy ja dziś jestem w Centrali?

— Nie ma pana, panie generale. Wyjechał pan dwie godziny temu czarną limuzyną w nieznanym kierunku.

— A to dobrze, to dobrze. To nadaj kierowcy radioszyfrogram, żeby nie wracał wcześniej niż jutro koło południa. I przygotuj dla mnie rower, najlepiej ten odrapany zielony składak. On ma bardzo wygodne siodełko.

— Tak jest.

— No to już. Wołaj tego naszego kapitana.

Rozdział trzeci, w którym możemy zetknąć się z poezją oraz podsłuchać, mimo fioletowych lampek nad drzwiami, na czym polega tajemnica choroby patafijskiej

Aramis Frument wszedł do gabinetu i natychmiast swoim bystrym wzrokiem zauważył kilka rzeczy:

Gabinet wyglądał odpowiednio wspaniale i tajemniczo, tak jak trzeba. Natomiast Szef Generalny był nieobecny, za biurkiem nie siedział żaden obwieszony orderami generał o zimnej i nieprzeniknionej twarzy, tylko przy oknie stał niewielki, łysy staruszek w opadających spodniach i przyglądał się wróblom bijącym się o okruszki.

„A ten skąd się tu wziął? Chyba nie sekretarz? Szef Generalny na pewno ma jakiegoś poważniejszego sekretarza — pomyślał kapitan. — Czy ja wiem, czy się takiemu meldować?”

Staruszek odwrócił się od okna i uśmiechnął się życzliwie.

— Wywiadowca do spraw specjalnych BRR 27 — powiedział kapitan. — Mam stawić się przed Szefem Generalnym.

— Doskonale, kapitanie, doskonale—ucieszył się staruszek. — To niechże pan siada. Zaraz się czegoś napijemy.

Nacisnął brązowy guziczek i powiedział cicho do kaktusika na biurku:

— Kawa.

W kaktusiku coś stuknęło i powiedziało miłym głosem:

— Tak jest, kawa.

Aramis poderwał się na baczność.

— Kapitan Aramis Frument melduje się na rozkaz. Pan generał wybaczy...

— Ale po co dwa razy, kochany, już się pan raz zameldował.

Ze ściany wysunęła się na długim wysięgniku taca z dwiema filiżankami i cukierniczką.

— O, widzi pan, już mamy kawkę. Niech ją pan tu postawi. Proszę cukier. Pan się teraz nazywa Arkadiusz Fuś, tak?

— Arkadiusz K. Fuś, panie generale. Poeta.

— Aha, K... To pięknie. Myślę, że pisze pan od czasu do czasu coś w rodzaju wiersza?

— Takie miałem instrukcje, panie generale. Ostatnio wydałem tomik „Marchew wołająca”.

— Oo. Proszę. Więc nikt nie może mieć wątpliwości, to dobrze.

— Tak jest. Tym bardziej że od czasu do czasu tworzę również dla dzieci. Niedawno wydałem książeczkę pod tytułem „Przygody Rysia”.

— Podziwiam coraz bardziej... Mógłby pan coś zacytować?

— Czy koniecznie... —zaczewienił się kapitan, ale zaraz się poprawił: — rozkaz, panie generale, już cytuję:

A to psotnik z tego Rysia,
niedobry chłopczyzna.

Już od rana mamie dzisiaj
psocić on zaczyna...

— No, dalej, dalej.

Nerwy kapitana były wystawione na ciężką próbę. Było gorzej niż wtedy, kiedy obezwładniał obcych agentów w składzie pepoż, a setki podziurawionych kulami gaśnic pianowych zaczęły naraz miotać pianą w kompletnych ciemnościach.

— Słucham...

...Mama mleczko postawiła,
wyszła na chwileczkę.

On głowicę jej jądrową
włożył w kaszkę z mleczkiem...

— Uuuu... Z wydźwiękiem, wspaniale...
...Oj, ty Rysiu, skończże wreszcie
niemądre igraszki.
Jak głowica ci odpali,
to nie będzie kaszki.

— Istotnie... —zamyślił się Szef Generalny. —Nie będzie...
No, świetnie, widzę, że i w tej roli był pan zupełnie dobry, teraz
ona już nie będzie potrzebna. Tamte zadania przejmie ktoś inny.
Mam dla pana akcję trudną i delikatną. I bardzo ważną. Tym razem
poza naszymi granicami. Po zastanowieniu wybrałem pana, bo
wydaje mi się, że można mieć do pana duże zaufanie. Jest co
prawda jedno zastrzeżenie...

— Tak, panie generale?

— Ołówki, kochany. Te ołówki.

Kapitanowi zrobiło się nieprzyjemnie. Święci pańscy, generał
nawet i to wie?

— To w zasadzie nic złego. O ile się oczywiście przy tym nie
śmieci. Ja wiem, że jak trzeba kogoś gonić, to pan goni, jak trzeba
uciekać, to pan ucieka, jak podsłuchiwać, to pan podsłuchuje, jak
obezwładniać, to pan obezwładnia, i nie struga pan wtedy ołów-
ków, ale potem pan je struga, a po struganiu można pana roz-
poznać. Wywiadowca nie może niczym się odróżniać od innych
ludzi, wie pan doskonale. A już zwłaszcza wywiadowca do zadań
specjalnych.

— Tak jest...

— No właśnie. Co by tu wymyślić... A gdyby pan zamiast
ołówków strugał sobie zapalki i dłubał nimi w zębach? To jest
mniej oryginalne. Co? Niech pan spróbuje. Chociaż nie jest to
eleganckie, ale czego nie robimy dla służby, prawda?

— Tak jest, panie generale.

— Doskonale. Teraz powiem panu dokładnie, jakie zadanie
pana czeka. Niech pan przysunie sobie fotel, tutaj bliżej.

Szef nacisnął fioletowy guziczek. Nic się nie pokazało ani nie
odezwało, kapitan nie wiedział, że w tej chwili nad gabinetem

zapaliły się fioletowe światelka oznaczające rozkaz: „nie wpuszczać nikogo i bardzo uważać, żeby nikt nie podsłuchiwał”.

Potem nacisnął biały klawisz, siedemnasty z rzędu pod drugim ekranem. Coś zamigotało i na ekranie pokazała się dokładna mapa zaprzyjaźnionego państwa: Zjednoczonej Republiki Patafii.

— Co to jest, kapitanie?

— Patafia, panie generale. Nasz sąsiad, z którym wiążą nas stosunki przyjaźni i współpracy.

— Wiążą, wiążą... — westchnął Szeff. — A co panu mówi nazwisko Bernard Pstrix?

— Przewodniczący Rady Uczonych, członek wielu zagranicznych towarzystw naukowych, profesor naszego największego uniwersytetu. Psychiatra, psycholog, socjolog i etnograf. Wielki podróżnik. Autor osiemdziesięciu trzech książek...

— Osiemdziesięciu czterech.

— O, nie czytałem tej ostatniej —zawstydził się kapitan. — O czym ona była?

— „Doświadczenia w leczeniu odrętwienia konferencyjnego za pomocą skakanki”.

— Muszę przeczytać. Ostatnio, zdaje mi się, profesor znowu gdzieś wyjeżdżał?

— Tak. Właśnie do Patafii. Profesor podjął bardzo trudną i niezwykle ważną dla nas wszystkich próbę naukowego zbadania niepojętych rzeczy, które dzieją się tam od jakiegoś czasu. Chodzi o dziwne zmiany w obyczajach i zachowaniu większości Patafian. Słyszał pan o tym?

— Na ten temat krąży tyle plotek i pogłosek...

— Tak. Ale w tej chwili możemy już sądzić, że Patafia jest terenem opanowanym przez coś w rodzaju zaraźliwej choroby umysłowej. Choroby, która może zniszczyć cały naród. A potem nawet...

— Rozumiem. Zagrozić sąsiadom, to znaczy nam.

— Właśnie. I nie tylko nam. Wszystkim ludziom, kapitanie. Taka jest prawda. Dlatego musimy bardzo się postarać, żeby opanować sytuację. Oczywiście w sposób pokojowy i nie wyrządzający Patafianom szkody. No i nie przeszkadzający im w samodzielnym rządzeniu we własnym państwie.

- Ale jak to zrobić?
- Sprawą na początek najważniejszą są badania profesora Pstrixa. One nam dadzą wskazówki, co mamy robić. To znaczy: mogłyby dać wskazówki...
- Więc są jakieś przeszkody w prowadzeniu tych badań.
- Zgadł pan. Ma pan głowę na karku, kapitanie. Gdyby jeszcze nie te ołówki... Niech pan słucha: to, co teraz powiem, jest najwyższą tajemnicą państwową.
- Tak jest.
- Profesor Bernard Pstrix dwa miesiące temu wrócił do kraju' przymusowo pod eskortą naszych ludzi. Właściwie było to nieomal porwanie. Nie było innego wyjścia, profesor zaprzestał pracy i oświadczył, że nie ma zamiaru wracać. W drodze powrotnej na przemian płakał i wyzywał wywiadowców od grzduli, kapusiów, ciemniaków, nadgorliwców, chrupieli, frajerów i... — szef uchylił szufladę, zerknął do jakiejś teczki —właśnie, i od fajansiarzy.
- A więc...
- Tak. To straszne, ale nasz wielki uczonec sam uległ dziwnej chorobie patafijskiej. Był tam około trzech miesięcy, okazuje się, że jednak zbyt długo. Obecnie objawy choroby się cofnęły, stan umysłu profesora jest normalny. Ten dzielny człowiek zapowiedział, że nic nie powstrzyma go przed prowadzeniem dalszych badań. Tym bardziej że w szamotaniu z naszymi wywiadowcami zgubił dwa zeszyty stukartkowe w kratkę, w których zapisywał swoje obserwacje. Nie udało się ich odzyskać.
- I jedzie tam znowu?
- Już wyjechał. Ustaliliśmy, że profesor będzie pracował pod opieką naszych ludzi. Ludzie będą się zmieniać co dwa tygodnie, żeby uniknąć ryzyka, że oni też zachorują. Po dostrzeżeniu pierwszych, najdrobniejszych nawet objawów choroby patafijskiej — natychmiastowy powrót z profesorem do kraju. W pierwszym stadium będzie jeszcze na tyle przytomny, że wróci dobrowolnie. Tak... —Szef zamyślił się nad czymś przez chwilę. — Pana chcemy wysłać jako pierwszego opiekuna. Wolno panu nie zgodzić się na to zadanie. Uprzedzam, jest to praca zagrażająca zdrowiu.
- Tak jest, zgadzam się.

— Wiedziałem, że mogę na pana liczyć. Jest pan porządnym człowiekiem, kapitanie. W takim razie wyjazd w przyszły wtorek. Przedtem krótkie przeszkolenie, omówienie szczegółów i przygotowanie do podróży. Nie muszę oczywiście przypominać, że misja jest ściśle tajna. Profesor tym razem również podróżuje z fałszywymi dokumentami jako patafijski wczasowicz. Tak na wszelki wypadek. W gazetach już podaliśmy, że wyjechał na Wyspy Zakalcowe.

Rozdział czwarty, w którym pojawia się dziwny osobnik, a z połatanego dachu płyną zdrowe poglądy życiowe

Droga szła stromo pod górę, przez las. Granica patafijska była już niedaleko. Kapitan obejrzał się za siebie. Jakies sto metrów za nim dreptał ten nieznajomy ktoś. Wyglądał na osiem, a może dziesięć lat. Szedł sam, wywijał patykiem i co chwilę poprawiał sobie na ramionach paski ogromnego zielonego plecaka.

Las się skończył, Aramis wyszedł na ogromną polanę, gdzie stało kilkanaście domków. Dalej znów był las i nad nim było widać ogromne góry.

Na jednym domu siedział na dachu dziadek w starym kapeluszu przekrzywionym na bakier i głośno wyśpiewywał. Zrywał spróchniałe gonty i przybijał nowe. Piosenka była bardzo długa, a na końcu każdej zwrotki było: „raz, dwa, trzy, śtyry — raz, dwa, trzy”. Ten koniec zwrotki doskonale się nadawał do przybijania gwoździ młotkiem. Raz, dwa, trzy, śtyry — za każdym razem jedno łupnięcie.

Aramis usiadł na belce po drugiej stronie drogi, zastrugał zapalkę i zaczął dłubać w zębie. Nie był wcale zdenerwowany, dłubał tylko w ramach treningu, żeby się przyzwycząić.

Osobnik z zielonym plecakiem minął go i usiadł na przeciwnym końcu belki. Aramis przyjrzał mu się. Osobnik miał chude, troszkę krzywe nogi z wystającymi kolanami, włosy sterczały tu i tam dookoła głowy w najdziwniejszych kierunkach, a było ich raczej niedużo i dosyć krótkie. Nos jak ziemniaczek, na nosie okulary w drucianej oprawce, a poniżej buzia coś niecoś za długa. Jakby

komuś zostało za dużo plasteliny i doklejał ją i doklejał, aż się zrobiła taka wydłużona broda.

Osobnik też się przyjrzał Aramisowi, zmarszczył nos i powiedział:

— Hy.

Kapitan uznał to za chęć nawiązania rozmowy, więc zapytał:

— Dokąd tak maszerujesz?

— Tam... — r.achnął ręką przed siebie.

— Tak całkiem sam, bez nikogo?

— Jaki sam, jaki sam. — Osobnik zajął się teraz plecakiem stojącym obok pnia, rozsznurował go i wsadził nos do środka.

— Trzeba coś wtrząchnąć — wyjaśnił jeszcze i wyciągnął ogromny kawał kiełbasy.

„Jakiś niewydarzony dzieciak” — pomyślał Aramis.

Dziadek na dachu wyśpiewywał a wyśpiewywał.

— Piękna piosenka — zawołał kapitan do dziadka. — Taka wesoła. Nigdy jej nie słyszałem.

— Ano, panie, trzeba coś wesołego pośpiewać, jak się ludziom dach szykuje. Będzie się im lepiej mieszkać, zdrowo i wesoło.

— Jak pan mówi?

— Zwyczajnie. Jak się dla ludzi coś robi, to muszą być życzliwe ręce i życzliwa głowa. A śpiewanie przez ręce wchodzi w tę robotę. Potem lepiej się ludziom żyje. Czy się chleb piecze, czy buty szyje, czy dach łąta, trzeba pamiętać o człowieku, co w tych butach będzie chodził albo ten chleb będzie jadł.

— Słusznie, bardzo słusznie.

— A przecież. A to, panie, w tym domu nauczyciel z żoną będzie mieszkał: jak mu się dobrze będzie mieszkać, jak nad głową będzie miał życzliwy dach, to i do dzieciaków będzie miał więcej cierpliwości. A będzie się więcej śmiał do nich, to go polubią. A polubią — to chętniej będą słuchać, co opowiada na lekcjach. I tak to, panie. Warto śpiewać, warto.

— Mądrze gada — mruknął niewydarzony dzieciak i dalej szarpał zębami kiełbasę.

— Dobrze pan zarobi przy tej robocie? — zapytał Aramis, bo chciał jeszcze coś powiedzieć, a nic lepszego mu do głowy nie przyszło.

— No... — dziadek zsunął kapelusz na czoło i poskrobał się

za uchem — mówili, że dadzą sześćset pęczaków czy osiemset... E, nie, chyba sześćset. Tak dokładnie nie wiem, zapomniało mi się. Jak skończę, to się zobaczy. Oszukać nie oszukają — uśmiechnął się od ucha do ucha, aż można było policzyć, ile zębów mu brakuje.

Aramis wstał i zarzucił plecak na plecy, luksusowy górski plecak produkcji patafijskiej.

— No to do widzenia, wesolej roboty!

— A Bóg zapłać, panie, Bóg zapłać. Nie ma strachu, póki robota jest, nie ma się czego smucić.

Aramis szedł dalej kamienistą drogą. Szczyty przed nim widać było ostro i wyraźnie, bo powietrze było bardzo przejrzyste. Nawet w oddali majaczyły wierzchołki Gór Milczących, ciągnących się wzdłuż granicy. Kapitan uszedł już spory kawałek drogi, a jeszcze słyszał"

— A jak mi fortuna potoczy się kołem,
A jak mi fortuna potoczy się kołem,
To może zostanę panem generałem —
Raz, dwa, trzy, śtyry, raz, dwa, trzy...

I wesole łomotanie młotka po drewnianym dachu.

Droga schodziła w dół, do asfaltowej szosy, a kilka kilometrów dalej było przejście graniczne. Kapitan Aramis szedł jako turysta, nie ukrywając się. Dopiero po przejściu granicy miał zmienić dokumenty i udawać rodowitego Patafianina, który spędza urlop na wędrownie z plecakiem.

Taka właśnie trasa została ustalona, bo tędy rozpoczął swoją drugą podróż badawczą profesor Pstrix. Trzeba było iść dyskretnie jego śladem i możliwie szybko go odnaleźć. Następny wywiadowca-opiekun miał być przerzucony potajemnie wprost do Bulbuliery, stolicy Patafii, gdzie profesor miał zatrzymać się dłużej.

Kamienista droga przed dołączeniem do szosy przechodziła przez niewielki potok. Na mostku jakiś chłopak mocował się ze złamanym drągiem, wystającym z dziury w moście.

— Trzeba naprawić, bo jeszcze wieczorem kto nogę skręci — powiedział nie pytany i uśmiechnął się do Aramisa. —A pomógłby pan ten drąg wyciągnąć? Paskud tak się zaklinał, że

nie ruszę sam. Trzeba nowy wpasować i potem zasypać kamieniami...

Aramis zrzucił plecak i złapał za dr^o. We dwóch wyciągnęli go zaraz.

— To ty jesteś wyznaczony do opieki nad tym mostkiem?

— E tam, kto by wyznaczał. Przechodziłem i widzę — dziura. No to żem się wrócił po łopatę i siekierę, trzeba naprawić, myślę, bo jeszcze wieczorem kto nogę skręci...

— A inni nie mogą naprawić?

— A po co inni? Dla innych też będzie. Jest co poprawiać na świecie, dla nikogo nie braknie. No to dziękuję — powiedział, wziął siekierę, łopatę i zawrócił do wioski.

Kapitan Aramis szedł szosą i tak się zamyślił, że nawet na chwilę zapomniał, dokąd idzie i po co.

A granica była już niedaleko.

Rozdział piąty, w którym dziwny osobnik odkrywa karty, a kapitan Aramis Frument po raz pierwszy zmuszony jest strugać zapałki

Przed samą granicą kapitan posłyszał za sobą na asfalcie szybki tupot sandałów. Obejrzał się — niewydarzony dzieciak pędził za nim, aż mu podskakiwał zielony plecak i druczane okulary na nosie. Dopędził go i złapał za rękę jakby nigdy nic.

— O cie pępek. Ale pan galopuje. Dobra, teraz granica, na razie będę mówić wujku.

— Ale co ty... — kapitan próbował uwolnić rękę. Nic z tego nie rozumiał. Niewydarzony dzieciak trzymał mocno.

— W porządku, jak przejdziemy, to pana puszcę. Czy koniecznie zaraz całą historię trzeba opowiadać? Do dziadziusia idę, niosę mu jedzenie, bo dziadzius tam ma robotę, na patafijskiej stronie. Zawsze chodzę z tatą. Dziś tata nie mógł, a bez dorosłego nie przepuszczą. No już wszystko wytłumaczone? Ojeej.

Kapitan poczuł się tak jakoś, jakby go skrytykował sam dowódca Wydziału Specjalnego. Niewiele brakowało, a odpowiedziałby „tak jest”.

— Dobra, dobra — mruknął tylko, bo już stali przed szlabanem z oszkloną budką. Pokazał dokumenty, strażnik zerknął na nie znudzonym wzrokiem i machnął ręką, żeby przejść.

— No, fajnie — obejrzał się dzieciak. — Zasuwamy teraz do dziadziusia. Prawdę mówiąc, to trzeba było trochę nacyganić. Naprawdę to pierwszy raz tu jestem, a tata całkiem nie wiem, gdzie się pęta.

— Coo?

— No tak, bo on się rozwiódł z mamą i wyjechał. A potem mama wyjechała, a on przyjechał z drugą mamą. A potem wróciła pierwsza mama i oni się zwiedli znowu, ale potem przyjechał taki facet z oczopląsem i jakoś się dożenił, a potem się wszyscy z nim rozwiedli i tata wyjechał z obydwoma mamami nie wiadomo gdzie i został tylko ten oczopląs. Nawet w „Chińczyka” nie umie grać, kto by z takim wysiedział. Ja mam tylko dziadziusia. On jest okropnie fajny. To co, idziemy go teraz szukać, tak?

— Ale, dziecko kochane...

— Yyy — jęknął niewydarzony dzieciak, wlaź na płot obok drogi, oparł brodę na pięściach i wpatrzył się w Aramisę z taką pogardą, że kapitan wyciągnął zapalniczki, scyzoryk i zaczął gwałtownie strugać.

— Nie idzie pan szukać dziadziusia? To dokąd pan idzie, co? Po co pana w ogóle wysłali?

Kapitan stał z bardzo niemądrą miną, zapalniczka sterczała mu w zębie nieruchomo, a bachor na płocie urągał coraz gorzej:

— No i muszę się znowu specjalnie przedstawiać. Mam dwanaście i pół roku, przeszło dwanaście i pół, i nazywam się Semiramida Pstrix. Tak, tak, panie wywiadowco, to mój dziadziuś, profesor Bernard Pstrix wymyślił mi takie imię. Bo Semiramida była bardzo piękna. Taka królowa. Pewnie też pan nie słyszał, panie poruczniku.

— Nie jestem porucznikiem — powiedział Aramis i wyjął zapalniczkę z zęba.

Semiramida kiwnęła głową.

— Nie szkodzi. Jak pan będzie dobrze pomagał dziadziusiowi, to jakoś zrobimy, żeby pana awansowali na porucznika.

Kapitan poczuł się trochę pewniej. Zawsze człowiek czuje się

pewniej, jak ktoś koło niego nie wie wszystkiego bezbłędnie i trochę się wygłupi.

— Dobra, dobra. Złaż z tego płotu i...

I najgłębiej pomyślał sobie, że nie może tej dziwnej osoby tak sobie zwyczajnie odesłać z powrotem. Po pierwsze, za dużo wie. Ale skąd, jakim cudem? Po drugie, nie wygląda na taką, która by pozwoliła się tak łatwo i bezszmerowo odsyłać. Po trzecie, lepiej nie zwracać na siebie uwagi i nie przechodzić granicy tam i z powrotem.

— ...i idziemy dalej — dokończył. Bo jeszcze pomyślał sobie, że kto wie, czy taki dzieciak się do czegoś nie przyda. Choćby do udawania kogo innego. Przecież żaden oficer wywiadu i żaden naukowiec nie podróżują z dziećmi.

— No, w porządku — powiedziała Semiramida. — Ale ten stary na dachu to był fajny, nie?

Rozdział szósty, z którego można się dowiedzieć, co prawdziwy Patafianin sądzi o żołędziach, stołkach, pracach drogowych, bocianach, stolicach, medycynie i życzliwości

Było już po południu, słońce grzało trochę za mocno, nogi bolały.

— Warto by się czymś podwieźć — powiedziała Semiramida.

— No... możemy. Tylko w samochodzie się nie odzywaj. Możesz udawać, że śpisz. Powiem, że jesteś zmęczona. Pamiętaj, nie wolno nam się zdradzić, że jesteśmy obcokrajowcami.

— Ehe...

Kilka samochodów osobowych nie zatrzymało się, dopiero zielona furgonetka zjechała na pobocze. Na drzwiach miała nazwę jakiegoś przedsiębiorstwa.

— Jedzie pan w kierunku Erdalu? — zapytał po patafijsku kapitan. — Świetnie, bardzo dziękuję.

— Ełm — mruknął kierowca i ruszył. Za chwilę na liczniku było już 50 km na godzinę. Szybciej się nie dało, bo droga była strasznie dziurawa.

— Jakie wspaniałe dęby — powiedział Aramis, bo chciał nawiązać rozmowę. Rzeczywiście, na pagórku koło drogi stały potężne trzy drzewa, mające może po osiemset lat, a może i więcej.

— E tam, dęby. Żaden interes. Kto dziś kupuje żołądziejce?

— Ale ja tylko...

— Jasna sprawa, nie mówię. O, widzisz pan: topole to jest coś. Szwagier ma plantację stołków. Panie, sto dwadzieścia tysięcy felerów, jak nic przez rok. A robota żadna.

Felery to były patafijskie pieniądze.

— Plantację... stołków?

— Nie słyszał pan? To teraz samo idzie. Taką średnią topolę ścina się motorówką, na dwóch — trzech metrach, żeby sam pień został, bez gałęzi. Przez rok poniżej tego ściętego miejsca wyrastają w górę nowe gałęzie, takie proste. Następnego roku ścina się to miejsce, z którego wyrosły, taki plasterek z gałęziami. A te gałęzie skraca się równo do pół metra. Odwracasz pan płackiem w górę, gałęziami w dół, stawiasz na ziemi i siadasz. I jest stołek. To jest teraz moda, elegancja mieć takie stołki. Wiesz pan, jak ludzie płacą?

— Tak, oczywiście, znam, kolega sobie gabinet umeblował w taki sposób — powiedział Aramis, bo skoro to takie modne, to prawdziwy Patafianin powinien być coś o tym wiedzieć.

— Widzisz pan. A następnego roku odcinasz pan następny stołek, bo już nowe gałęzie wyrosły. Przez cały rok żadnej roboty. Samo rośnie. A szwagier tak się jeszcze wycwanił, że czymś smaruje pnie i gałęzie rosną dwa razy szybciej, to tnie dwa razy w roku. I podwójny zysk. Tylko kłopot z transportem, bo takie przyspieszone gałęzie są niemożliwie kruche i łamią się już w samochodzie. Połowę stołków bez nóg kiedyś dowiózł.

— To ludzie nie mają z nich pożytku...

Kierowca popatrzył zdziwiony.

— Ludzie? A co ludzie? Po to się robi, żeby zarobić, nie? Jak się im połamie, to kupują nowe, interes lepiej idzie.

Zahamował gwałtownie. Za zakrętem droga była rozkopana w poprzek. Nad wykopem siedziało dwóch Patafian i palili papierosy. Aramis popatrzył zdziwiony: wykop był tylko od rowu do rowu, nigdzie dalej nie prowadził.

— Kombinują chłopaki — uśmiechnął się życzliwie kierowca i wysiadł. Jeden z robotników wstał. Porozmawiali chwilę, kierowca sięgnął do kieszeni, coś mu włożył w rękę. Jeszcze trochę się posprzeczali i Patafianin machnął ręką na drugiego. Ten drugi wstał bardzo powoli, wlażł do wykopu, wyciągnął dwie grube deski i przerzucił je przez dziurę.

Samochód pomału przejechał na drugą stronę.

— W porządku chłopaki — powiedział kierowca. — Dużo nie biorą. Już z miesiąc robią na tym odcinku i nigdy nie wzięli więcej niż dychę.

— Za jeden przejazd?

— Nie, za jedną deskę. Bo deski są ich. Dwie deski po dysze to dwadzieścia felerów. I jakoś żyją. Narobić się nie muszą...

— Ale po co ta dziura?

— Mówię panu, że robią odcinek. Państwowa robota. Drogę wyrównują.

— Przecież nic nie wyrównane, tylko dziura w poprzek.

— Panie, coś pan, nietutejszy czy niedzisiejszy? Niedawno jednego wiozłem, starszy taki, z bródką, to też tak wydziwiał nad tą dziurą. A co, a jak, a pożytek, a co ludzie z tego mają... Chyba każdy musi coś zarobić, nie?

— Jasna sprawa, ja tak tylko pytam, bo u nas tak się nie da, wie pan, stolica — wyjaśnił od niechcienia Aramis.

— To pan z Bulbuliery? Ee, zaraz poznałem, że lepszy gość. W stolicy to są możliwości, nie? Tam to każda posada jak kura, co złote jaja znosi. I jest z kogo obciążać. Nie tak, jak u nas. U nas niebogato, nie da się za dużo zgarniać.

Samochód musiał zwolnić. Kierowca przejeżdżał na pierwszym biegu przez wyrwy w drodze i na chwilę przestał gadać.

— O, bociany — powiedział kapitan, żeby zmienić temat. Po łące za rowem chodziły poważnie dwa boćki i czegoś szukały.

— Bociany? Żaden interes. Co można, panie, wykombinować z bocianami? O, coś panu powiem: mam kumpla, Bocian się nazywa. Pan wie, ile on wyciąga na miesiąc? Piętnaście tysięcy felerów, jak nic. A narobić się nie musi. Bo on się tak urządził, że...

Semiramida zaczęła nagle okropnie kaszleć. Leżała na zwiniętej

plandece za siedzeniem i udawała, że śpi. A teraz kasłała jakoś dziwnie, trzęsa się i krztusiła.

— Coś się dzieciak przeziębził — zauważył kierowca. — Jak nie przejdzie, trzeba będzie do lekarza. Lekarze teraz, panie, zarabiają... Powie panu w przychodni, że groźna choroba, że on tutaj ma za mało czasu, poda swój adres... I biega pan, i pieniądze lecą... Mój kolega kształci syna na lekarza. Mówi, że to się najlepiej kalkuluje.

Dojeżdżali już do przedmieść Erdalu.

— To może pan nas tutaj wysadzi — powiedział kapitan. Kierowca zatrzymał samochód.

— Dziękujemy za podwiezienie, jak sympatycznie było poznać takiego uprzejmego człowieka. Dziękujemy, szerokiej drogi.

Kierowca siedział w otwartych drzwiach, całkiem osłupiały. "Autostopowicze uszli już kawałek, kiedy odzyskał głos:

— Halo, panie! Panie sympatyczny! Jak to tak: za „dziękuję”? Za dziękuję się nie kupuje! Jeszcze takiego pasażera nie miałem! Kapitan zawrócił.

— A, to pan wioził nas zarobkowo? Przepraszam. Myślałem, że po prostu ze zwykłej życzliwości, w porządku, już płacę, trzydzieści felerów może być?

— Może być... A życzliwość, jak już pan chcesz wiedzieć, co każde dziecko wie, to jest tak: zarób sam i daj zarobić drugiemu.

Ruszył ostro z miejsca, obejrzał się jeszcze za siebie.

— Cudak jakiś. Pomyłony albo kapuś? E, nie spisuje numeru. Pomyłony. Grunt, że na koniec zapłacił.

Rozdział siódmy, w którym Semiramida Pstrix ujawnia niespodziewanie swoje zdolności, a osiągnięcia techniki wywiadowczej pozwalają rozszyfrować tajemnicę patafijskich jełczalni

— Biedak, chyba jakiś pomyłony — mruknął kapitan, kiedy już siedzieli w restauracji przy stoliku.

Semiramida dyndała nogami w powietrzu, bo krzesło było trochę za wysokie.

— Aha, z dziadziusem było tak samo. Też tak bredził o pieniądzech, jak go przywieźli z Patafii. Nic innego nie umiał mówić.

— Zaraz, a skąd ty właściwie wiesz, co ten szofer mówił?

— E tupla pepito kiki, biprokrusz fufu pleks. Ni bąbur kipku? — odpowiedziała Semiramida swobodnie w języku patafijskim, z doskonałym akcentem. I poprawiła sobie wskazującym palcem okulary na nosie, bo jej trochę zjechały w dół.

— Kipku... — odpowiedział ogromnie zdziwiony kapitan. — Kiedy się tak świetnie nauczyłaś tego języka?

— Dziadzius bredził po patafijsku. A ja wciąż przy nim siedziałam. W ogóle to miałam słownik i się uczyłam na gwałt. Wiedziałam, że jak wyzdrowieje, to znowu pojedzie i że ja go już samego nie puszczę. Ale dziadzius nie chciał mnie wziąć. I jak wyjeżdżał, to ten oczopląs mnie zamknął na strychu. Ja jeszcze to z nim omówię, jak wrócę, bo teraz nie miałam czasu.

— A jak się wydostałaś?

— No jak, zwyczajnie — zdziwiła się Semiramida. — Przez okienko na dach i po rynnie. To tylko dwa piętra. Plecak miałam spakowany w moim pokoju na parterze. Narobiłam łomotu od frontu i jak oczopląs wyleciał na ulicę, to ja od tyłu przez okno, łaps za plecak i uciekłam.

— Ale skąd wiedziałaś, że ja... że...

— Ee, dziecko by wiedziało — powiedziała Semiramida. Przechyliła się na krześle do tyłu, podrapała się po czubku głowy i zaczęła wylizywać na palcach:

— Wiadomo, z kim dziadzius wrócił. Jak go znaleźli w Patafii, wzięli za klapy i siłą odstawili tutaj, choć nie chciał, a cały czas z szacunkiem i okropnie się o niego troszczyli. Jak ich potem dyrektor szpitala musiał słuchać — było jasne, co za faceci. Tak? To raz.

Więc już potem wiadomo było, kto do dziadziusia przyszedł teraz, przed odjazdem. Jak oczopląsa i mnie dziadzius wygonił na dół, a sam z nim gadał w gabinecie, to ja oczopląsowi powiedziałam, że przyszły właśnie suszone śliwki marmuzyjskie i że już się ludzie zlatują, no i on popędził. Zawołałam dziewczuchy z podwórka, żeby skakały i się darły w moim pokoju, a sama poleciałam na górę podsłuchiwać. Ja mam dobre ucho, gadali cicho, ale

wystarczyło usłyszeć: „pójdzie pana śladem, panie profesorze”. To dwa.

No a trzecie, rozumie pan, jak zasuwa na piechotę do granicy ktoś, kto ma patafijski plecak i dłubie w zębach patafijskimi zapałkami, których się u nas nie kupi — widocznie chce udawać Patafianina —zaraz wiadomo, kto to taki. Ale myślałam, że pan wcześniej pójdzie. Dwa dni musiałam siedzieć w tych krzakach koło drogi.

— Jakie stopnie masz w szkole? —zapytał kapitan.

— E... — westchnęła Semiramida — przeważnie dwóje... Ale trójek trochę też. Tylko z wuefu piątka. Dlatego, że ja nie odpowiadam całym zdaniem i nie gadam tak, jak pani podyktuje do zeszytu, tylko zawsze jeszcze coś po swojemu wymyślę, żeby było ciekawiej. No i pyskuję, i się wciąż o coś pytam, żeby pani dokładniej opowiedziała. Żeby pan widział, ile ja mam uwag w dzienniku...

Kapitan pokiwał głową.

— No to świetnie!

— Jakie świetnie, jakie świetnie — oburzyła się Semiramida.

Podszedł kelner, stanął nad nimi i wpatrzył się w okno. Przyglądali mu się ze zdziwieniem, aż się zniecierpliwił:

— No słucham...

Kapitan nachylił się nad kartą.

— ...Dwa sznycle z buraczkami proszę.

— Nie ma.

— Nie ma? Więc pierogi z mięsem.

— Nie ma.

— A w karcie są.

— Karta jest kartą, najwyżej mogę skreślić... Zamawia pan?

— Skreślenia? Tak, zamawiam. I poproszę gołąbki.

— Nie ma...

— A kucharki są?

— Kucharki? —kelner oderwał wzrok od okna. —Są kucharki.

— A po co?

Kelner wzruszył ramionami i zrobił cierpiący wyraz twarzy.

— Pan zamawia?

— Dwie bułki z masłem i dwie herbaty.

— Masło mamy, niestety, sprzed trzech dni. Świeżego nie dowieźli. Chyba żeby... ze względu na małego... To podać świeżutkie?

— Za ile? — spytała ostro Semiramida, oczywiście po patafijsku.

— O, bystre dziecko — uśmiechnął się kelner po raz pierwszy. — Jakoś się dogadamy, każdy musi żyć...

I poszedł.

— Uwaga w dzienniczku — powiedziała Semiramida. — Wywiadowca niczemu się nie dziwi. Widocznie w Patafii kucharki nie są wcale po to, żeby gotować obiady dla ludzi. Tak samo, jak ci robotnicy na drodze. Oni też nie są po to, żeby drogę wyrównywać, jasna sprawa.

— Co za ludzie jacyś... Spróbujemy się czegoś więcej o nich dowiedzieć.

Kapitan sięgnął do plecaka i wydobyl z bocznej kieszeni małe radio tranzystorowe. Nacisnął jakiś niewidoczny guziczek pod spodem, wyskoczyła antenka. Kapitan postawił tranzystor na stoliku i zaczął powoli nim obracać.

— Dobra, na początek tamto towarzystwo.

W głośniku słycać było niewyraźną rozmowę, kapitan poruszył delikatnie antenką w prawo, odbiór się polepszył. Radio gadało szeptem:

— ...A ja ci mówię, że nie wyjdiesz na swoje. U nas nie opłaca się sprzedawać pęcaków. Wiesz, gdzie one dobrze idą? W Hycburgu dadzą ci każdą cenę za pęcaki. I od razu kupujesz na miejscu te szlufki do spodni, rozumiesz, i szlufki sprzedajesz w Bikaverii za mormule. Teraz mormul to jest jedyna dobra waluta...

— O cie pępek, ale fajne... — jęknęła Semiramida. — Jak to działa?

— To jest bardzo czuły mikrofon kierunkowy, wyłapuje tylko głos z tak wąskiej strefy, jak... jak na przykład światło reflektora. Tylko trzeba ustawić kierunek... Ale uwaga w dzienniczku: wywiadowca nie ogląda się za siebie. Trzeba wszystko widzieć, a wyglądać tak, jakby człowieka nic nie odchodziło.

— No dobra. Ale to byli ci w rogu, koło palmy?

— Aha. A teraz sąsiedni stolik. —Aramis lekko przekręcił radio.

— ...Panie, a czy mnie się opłaca szukać w telewizorze, gdzie się co popsło, sprawdzać schematy, lutować... Wywalam ze środka całą połówkę, wstawiam nową i od razu gra, pięć minut i po robocie. W jedno popołudnie ze trzydziestu klientów załatwię.

— No pewnie, pewnie...

— A co. Niech płacą. Jak wymienię pół telewizora, to muszą nieźle zabulić, a jakbym po godzinie znalazł, że jedna dioda wysiadła, to ile ja mogę wziąć za jedną diodę? Pięćdziesiąt felerów? Zarobek jest zarobek, panie.

Kelner człapał do nich, Aramis nacisnął klawisz, radio zaczęło grać jakąś zwyczajną radiową muzyczkę.

— Proszę bułeczki, maselko świeżusieńkie, specjalnie wystarałem się, żeby było dla pociechy. Służę.

Semiramida wydłużyła brodę jeszcze bardziej, wytrzeszczyła oczy i zakręciła nimi prędko, prędko dookoła. Kelner nie widział, bo się właśnie odwrócił.

— To umiem od mojego oczopląsa. On tak samo robi. Ale się długo musiałam uczyć — powiedziała.

— Na piątkę się nauczyłaś. Aha, więc tak: pod palmą — o zarabianiu na zagranicznych pieniądzach, pod filarem —o zarabianiu na właścicielach popsutych telewizorów. No to... —kapitan wyłączył muzyczkę i pokręcił tranzystorem — to jeszcze tych dwóch blisko wyjścia. Może mają jakieś inne zainteresowania?

— ...Smażalnictwo to za słaby interes, dla przeciętniaków — mrucało teraz radyjko. — Nie kalkuluje się. Ja się przestawiam na jełczalnie. Wiesz, jak to teraz idzie? Każda garkuchnia bierze, każdy bar, restauracja, i to nieraz po kilka na jeden zakład. Dowożą im świeże masło, facet wrzuca na dwie godziny do jełczalni i po dwóch godzinach ma przedwczorajsze, a po czterech sprzed tygodnia. A trzy kosteczki świeże, na boku, po specjalnej cenie. Jak kelner czy szefowa baru kupuje u mnie jełczalnię za pięć tysięcy, to im się w tydzień zwróci. A potem już na czysto...

— Zgaś to, wujek, nudna audycja, jakieś wywiady radiowe... — Semiramida szybko wyłączyła tranzystor, bo kelner stał nad nimi z herbatą. Chyba nie zdążył usłyszeć.

— Dobrze, kochanie — odpowiedział też po patafijsku Aramis i schował aparat do bocznej kieszeni plecaka. — Zajadamy, małeńka.

Semiramida popatrzyła ponuro, jakby chciała powiedzieć: „ja ci dam małeńką, ty...” Kelner postawił herbatę i powlókł się dalej.

Wypili, zapłacili trzykrotną sumę za „świeżusieńkie” i wyszli.

Semiramida myślała o czymś z całej siły, aż jej się nos zmarszczył.

— Wujek... To ja teraz też jestem trochę wywiadowca, co?

— Hm... właściwie to jesteś.

— A jaki stopień mogłabym mieć? — spytała cichutko.

Rozdział ósmy, w którym pojawia się terrorysta, a nadinspektor Pałubozupel inkasuje łapówkę w pomidorach i bardzo się wstydzi

W Erdalu były cztery hotele. Wszędzie okazywało się, że „niestety miejsc nie ma, wszystkie zajęte”. Tylko w jednym z nich, przy ulicy Zaliczkowej, jakiś pan, który przyszedł zaraz po nich i też usłyszał, że zajęte, nie zmartwił się tym wcale i dostał jeden z wielu kluczy wiszących na tablicy, a zostawił na kontuarze dowód osobisty, do którego coś wsunął.

Ale kapitan Frument był zadowolony. Pytając wszędzie, w którym pokoju zatrzymała się jego ciocia, Auspicja Boback, mógł zerknąć nieznacznie do książki meldunkowej i stwierdzić, że wprawdzie cioci Auspicji nie było, ale pan Belizariusz Pypło był i wyjechał dwa dni temu.

O to chodziło: Belizariusz Pypło to było patafijskie, fałszywe nazwisko profesora Pstrixa. A ciocia oczywiście nie istniała w ogóle, więc mała strata, że jej w Erdalu nikt nie widział.

Nocowali za miastem, u ogrodnika. Za jego oknem były duże szklarnie, a niedaleko las.

Najpierw też noclegu nie było. A potem, kiedy się okazało, że turyści są aż ze stolicy — nocleg się znalazł od razu.

— To pan mieszka w Bulbulierze?

— A tak, mieszkam i pracuję. W CUBZNPL-u, wie pani.

— W Celube... puzelu?... — pani ogrodnikowej język aż poplątał się z wrażenia.

— Tak, w CUBZNPL-u —powtórzył gładko i od niechcenia kapitan. —Wie pani: Centralny Urząd Beztowarowego Zagospodarowywania Nadwyżek Pieniężnych Ludności. Nie, oczywiście nie jestem tutaj służbowo, tylko zupełnie prywatnie, na urlopie z siostrzenicą...

No i mieli piękny pokoik, luksusowo umeblowany, z kolorowym telewizorem. Wieczorem pani ogrodnikowa przyniosła kolację — pachnące sznycelki z młodymi ziemniakami i sałatką pomidorową. A osobno jeszcze torebkę z pomidorami: „Na jutro, na drogę, bo przecież pić się chce w taki upał”.

— Śliczne pomidorki. To z tych szklarni? Widziałem, stały skrzynki przed wejściem.

— A broń Boże — złożyła ręce ogrodnikowa — tamte są na sprzedaż, nie do jedzenia. A te specjalne, z osobnej działki, to mamy tylko dla siebie. Całkiem nieszkodliwe, czyste jak w raj.

— Nieszkodliwe?

— Bo ziemia zwyczajnie nawożona. Owocują wolniej, nie tak, jak po tej paście, ale te trochę, co dla siebie, to nie ma pośpiechu...

— A jaka to pasta?

— A, taka do szorowania wanien i muszli klozetowych. I trochę dodaje się tego najnowszego płynu behape, co to w warsztatach samochodowych używają... Każdy smar rozpuszcza. Trujące paskudztwo, bo trujące, ale jak te pomidory na tym rosną! Aż się paliki łamią. A zerwać zielony — w dwa dni dojrzeją.

— Ale ludzie będą przecież...

Ogrodnikowa dopiero teraz się spostrzegła, że za dużo powiedziała.

— Wie pan, panie nadinspektorze, to inni tak robią, ale my tylko eksperymentalnie, bardzo niedużo, tylko żeby sprawdzić, jak to z tym jest. Co tam, my nie musimy dużo zarobić, chociaż się nie przelewa, ale zawsze tak jakoś...

I wycofała się szybko.

— Ojeju, ale szuja — powiedziała Semiramida. — No przecież normalnie ludzi trują, żeby tylko więcej zarobić. I takich

nie zamkną? U nas już dawno by siedzieli. A tutaj pełno takich. I ci Patafianie sami tak chcą, tak im dobrze, wszystkim się to podoba?

W ciemnościach za oknem coś huknęło, strzał czy petarda, potem posypało się tłuczone szkło. Raz, drugi, trzeci...

— Szklarnia — powiedziała cichutko Semiramida. — Ale nic nie widać. Dziesięć, jedenaście...

Straszliwy hałas tłuczonego szkła ucichł, teraz zaświeciły się wszystkie światła, słychać było krzyki i bieganie całej ogrodniczej rodziny.

— Widzisz, nie wszystkim się to podoba — powiedział kapitan. — Ciekawie byłoby wiedzieć, kto to taki...

— Też bym chciała... Aie chyba on nie każe sobie za to zapłacić, co? Chyba trochę inny niż oni. Pracuje za darmo.

Do pokoju wpadła jak bomba pani ogrodnikowa.

— Pomocy, niech pan ratuje! Niech pan goni, to pewno jakiś terrorysta! Gdzie on uciekł? Nie widział pan, jak on uciekał?

— Chyba do lasu, bo las najbliżej, ale nie widziałem, bo przecież ciemno...

Rano okazało się, że terrorysta potłukł szklarnię dopiero potem, a przedtem dokładnie pociął nożem opony pięknego Schurleya-Super, stojącego przed domem. I podrapał lakier, który można dostać tylko za mormule.

— Jak ci się to wszystko podoba?

— Nie bardzo.

— Właśnie. W dodatku niedługo będzie tu policja i będzie się dowiadywać, cośmy za jedni. Ajajaj...

— Nie bardzo — powtórzyła Semiramida.

Więc za godzinkę siedzieli już pięć kilometrów dalej, na leśnej polanie niedaleko drogi. Nie tak blisko, żeby z drogi było widać, i nie tak daleko, żeby ktoś mógł powiedzieć, że się ukrywają.

— Bo ukrywać się trzeba z umiarem, nie nachalnie — powiedział kapitan, gryząc pomidora.

Semiramida też już zjadła kilka pomidorów w drodze i sięgnęła po następny.

— Fiuuu! — gwizdnęła i wsadziła nos w torebkę, a potem podniosła głowę i popatrzyła na Aramisa.

— O cie pępek... Masz, zarobiłeś. To chyba ten twój Pałubozupel, czy jak... — podała mu torebkę.

— Jaki Pałubozupel?

— No ten, co zagospodarowuje nadwyżki pieniężne ludności, beztowarowo.

— Ce U Be Zet En Pe Ei?

— No właśnie. Ale bomba! Teraz to już jesteśmy normalni Patafianie.

W torebce pod pomidorami było pełno forsy. Przeliczyli: trzy tysiące felerów.

— Ty... chyba nie myślisz, że ja tak specjalnie... chodziło mi przecież o ten nocleg, żeby nas nie wygonili...

— Ale obciach! Pan nadinspektor Pałubozupel zgarnął łapówkę i się tłumaczy, że on niechcący!

Kapitanowi zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Ciekawe, w jaki sposób by się tłumaczył, gdyby sam ob. Ciach się o tym dowiedział.

— Zamknij się, bąku. Idę to oddać.

— Ojeeju. Przecież oni do reszty zgłupieją, jak im zaczniesz oddawać. Albo pomyślą, że nie chcesz ich prezentu, bo ich wolisz... zagospodarować beztowarowo czy jak tam, albo... jeszcze gorzej.

— Co gorzej?

— Że sam chcesz teraz coś opłacić. A co możesz opłacać? Co było w nocy? Aha? I co?

— Nie bardzo... — kapitan siadł z powrotem na pniaku i wyciągnął zapałki i scyzoryk.

— No to masz, jeszcze jeden pomidor został. Nieszkodliwy, nie na paście do klozetów. A forszę odłożymy, jak nie nam, to komuś się przyda, może jakiemuś oszukanemu Patafianinowi, co sobie nie potrafi odkraść... Ty, wujek, masz jakąś lornetkę?

— Mam, a co?

— No pokaż, prędko.

Pokręciła się tu i tam, trzymając lornetkę za plecami, zerwała parę kwiatków, weszła za nieduży krzaczek. Dopiero tam uklękła na trawie i przyłożyła lornetkę do oczu. Potem wróciła do Aramisa i wyciągnęła rękę.

- Daj kawałek kiełbasy i chleba.
- Coś ty tam wypatrzyła? Po co ci kiełbasa? Jedliśmy dopiero co.
- Dla terrorysty. Ma dosyć głodną minę.

Rozdział dziewiąty, w którym zaradni transportowcy zarabiają, jak potrafią, a wędrowny szlifierz przekazuje dziwne ostrzeżenia

Wędrowali szosą przez las, policji nigdzie nie było widać, pewnie nie bardzo się przejęła szybami pana ogrodnika. Wędrowali i już od godziny nie odzywali się do siebie. Semiramida wymachiwała patykiem i śpiewała wściekle cały czas tę samą melodię. A kapitan szedł ze zmarszczonymi brwiami i myślał ponuro, po co właściwie wziął ze sobą tego zwariowanego dzieciaka.

Pokłócili się. Okropnie się pokłócili. O tego terrorystę.

Bo Semiramida popędziła do lasu, dała mu tę kiełbasę i zaprosiła, żeby do nich przyszedł porozmawiać. Jeszcze tego brakowało do ich tajnej misji. Mieli udawać spokojnych turystów i nie zwracać na siebie uwagi, a tu do towarzystwa terrorysta. I to dosyć hałaśliwy, bo używający petard i tłukący szyby. W dodatku Semiramida nie słuchała, kiedy Aramis za nią wołał, żeby się wróciła. A nic w tym lesie nie było już widać przez lornetkę, bo terrorysta wlaźł gdzieś w dalsze krzaki. I mógł ją udusić albo porwać, albo co. A kiedy kapitan za nią pobiegł, to ona już wracała z bardzo zadowoloną miną.

— Oj już tak nie wrzeszcz, wujek. Nie wiesz, a wrzeszczysz. On był naprawdę głodny.

— Przecież mogłaś zostawić kiełbasę na brzegu lasu i wracać, a nie zapraszać go do nas. Ładna sprawa: pomaganie terrorystom. Nie po to tutaj jesteśmy, mamy nie robić Patafianom żadnej szkody i nie narażać się im.

— Ale my przecież nie robimy szkody. A terrorysta i tak powiedział, że nie chce do nas przyjść, więc o co chodzi?

— Dobre chociaż to, że łaskawie nie skorzystał z twojego zaproszenia.

— Ale pewnie jeszcze skorzysta, bo powiedziałam, że może trzymać się niedaleko nas i przyjść, jakby czegoś potrzebował. Bo jemu wszystko jedno, w którą stronę idzie.

I wtedy kapitan się naprawdę wściekł. Najbardziej dlatego, że Semiramida powiedziała:

— No i złościsz się, i złościsz. Lepiej byś sobie postrugał za-
pałki, wujek.

Pogodzili się dopiero w Bombelniku. A nawet nie tyle się pogodzili, co zapomnieli, że mieli się gniewać. Nic dziwnego, każdy by zapomniał.

Bombelnik to było niewielkie miasteczko, które miało fabrykę mebli. Za fabryką był nieduży placyk, jakieś gruzy i trochę krzaków. Siedli sobie tam, żeby odpocząć. Właśnie Aramis wyciągnął z plecaka butelkę z niskosłodzonym sokiem z prukwy, kiedy na placyk zajechała ciężarówka. Była załadowana wysoko kolorowymi mebelkami. Stoliki, krzesła, półki i foteliki na biegunach.

Z szoferki wyszło dwóch ludzi. Wzięli sporą belkę stojącą pod murem i zaczęli tłuc tą belką po kolorowych meblach na samochodzie. Tłukli i tłukli, aż wysoko załadowany samochód był już załadowany tylko do jednej trzeciej wysokości połamanymi mebelkami. Potem odstawili drąg pod ścianę, zawrócili i pojechali z powrotem do fabryki.

Semiramida siedziała na swoim plecaku i miała tak szeroko otwarte oczy, że prawie cała ramka okularów była nimi wypełniona. A broda jej się wydłużyła jeszcze bardziej.

— Ty... wujek... ty też to widziałeś czy mi się coś przyśniło?

— Hm... no... widziałem, dość dziwne, ale... czekaj, znowu jadą, cicho bądź.

Ciężarówka zajechała na to samo miejsce. Warstwa potłuczonych mebelków była przykryta nowymi, jeszcze całymi. Znowu drąg poszedł w ruch i zaraz było niżej. Na wierzchu pomocnik szofera położył kilka całych fotelików na biegunach, które przedtem odstawili na bok.

Już wsiadali do szoferki, kiedy Aramis podbiegł, podniósł z ziemi odłamaną nogę od stoliczka i wrzucił do samochodu.

— Po co ma zostawać, jeszcze ktoś może znaleźć i" narobić kłopotu — powiedział uprzejmie.

— W porządziu, dziękuję — kierowca wyciągnął do Aramisa paczkę papierosów, Aramis wziął i zapalił. Kierowca też puścił wielki kłąb dymu.

— Ale widać, że pan nietutejszy. Tu nikt nie widzi, panie, każdy pilnuje swego. W Bombelniku kapusiów się nie znajdzie, to porządne miasto.

Zaburczał silnikiem i pojechał. Semiramida siedziała na plecaku z brodą opartą na pięściach.

— Ty, wujek, jak myślisz: a robotnicy, którzy zrobili te mebelki, czy oni wiedzą, co się z tymi mebelkami dzieje? Przecież u nas by takich niszczyli sprali. Bo żeby stać przy maszynach przez osiem godzin i się męczyć, a ktoś taki z drągiem i w pięć minut... Bo jemu nie wystarczy zarobić pojedynczo, on za przewóz musi podwójnie...

— Nie wiem... Sama widzisz, jacy oni dziwni. Może tych robotników też nic nie obchodzą ani te mebelki, ani te dzieci w przedszkolu, co je mają dostać... A może jest między nimi kilku takich, którym by się zrobiło przykro.

— To co. I tak nic nie powiedzą. Słyszałeś, co mówił: tutaj porządny człowiek to taki, co nic nie widzi i pilnuje swojego. Rozumiesz, tylko tego cholernego swojego.

— Chodź, idziemy... — skrzywił się kapitan. — Ja już ich mam trochę dosyć. Przystaje mnie to interesować.

— Trudno, służba. Sam mówiłeś. Ty... wujek... a ja... to bym jaki stopień mogła mieć?

Kapitan nie zdążył się zastanowić nad tym stopniem, bo na ulicy przed nim coś się działo. Kilkoro dzieci biegło za jakimś człowiekiem i darło się:

— Dziad, dziad, pomyłony stary fajansiarz! Na tu, na, masz, dziadu, pół felera!

— Chodź prędej — powiedziała Semiramida.

Dopędzili ich zaraz. To był dziadek w połatanym ubraniu, który niósł na plecach maszynkę do ostrzenia noży. Taką z pedałem i kółkiem rowerowym. Dzieci ciskały w niego ogryzkami z jabłek, a on się skulił i starał się iść szybciej.

Mijali ich ludzie wychodzący z pracy, niektórzy się uśmiechali, inni się krzywili, ale najwięcej było takich, którzy przesuwali

wzrokiem po dziadku i po dzieciach, tak jak po słupku z zakazem postoj, i szli dalej.

— Jak nie zrobisz coś z nimi, to zobaczysz, co ja zrobię — powiedziała cicho Semiramida i było wiadomo, że zupełnie nie żartuje.

Aramis złapał dwóch chłopaków za kołnierze i groźnie zawołał na resztę:

— Chodźcie tutaj wszyscy, no już!

Wesołe towarzystwo znikło natychmiast w czterech stronach świata, a za nimi popędzili dwaj schwytni. Kapitan specjalnie nie trzymał ich mocno.

Przechodnie, którzy przedtem nic nie widzieli, teraz przyglądali im się z wyraźną niechęcią.

— Pełno tych przybłądów teraz. Łazi taki nie wiadomo po co.

Turysta. Piechotą podróżuje, a zgrywa ważnego.

— Wychowawca się znalazł.

— Dziecko nawet koło własnego domu nie może się spokojnie pobawić...

Jeszcze coś tam mruzcili za nimi, specjalnie głośno, żeby mogli usłyszeć.

Szli teraz razem z dziadkiem, wyszli już za miasto.

Dziadek się zatrzymał i postawił swoją maszynkę.

— Noże ostrzę, dłutka, nożyczki. Może pan ma co do ostrzenia?

Aramis wyjął z kieszeni scyzoryk, Semiramida zaczęła grzebać w plecaku, znalazła finkę i nożyczki.

Dziadek nadepnął na pedał, posypały się z kółka iskry. Ostrzył uważnie, oglądał co chwilę pod światło, znów ostrzył, znów sprawdzał... Położył scyzoryk na kolanie, sięgnął po finkę. Kapitan chciał wziąć scyzoryk, dziadek zaprotestował:

— O nie, jeszcze nie gotowe, to dopiero z grubsza, teraz mu dopiero trzeba dać ostrość.

Wyciągnął z torby gładki kamień, kapnął trochę wody z butelki i ostrzył, a wciąż sprawdzał palcem. Wreszcie uśmiechnął się od ucha do ucha, wyrwał sobie włos z czubka głowy i ciach — przeciął go w powietrzu.

— I co? Kto panu tak potrafi naostrzyć? Niech panu dobrze służy.

I zabrał się do nożyczek.

— Ile się należy? — zapytał Aramis.

— Ile? — podrapał się po głowie. — A ja wiem? Zarobiłem już dziś na śniadanie i nieduży obiad, na wieczór by się bułka zdała z serem, niech pan da na bułkę i dołoży na szklanekę herbaty, będzie?

— Niemożliwe, panu się opłaca taki zarobek?

— Opłaca? Panie, ja się do pieniędzy nie modlę. Aby nie było głodno, zimno i buty żeby całe. A najważniejsze, że nikt człowiekiem nie gardzi. Tyle, że dzieciśka trochę powrzeszczą, ale to dzieci, to tak nie boli...

— A kto panem gardził?

— A... — skrzywił się dziadek — co tam gadać...

Semiramida złapała go za rękaw.

— Pan powie, koniecznie, **pan jest** bardzo **fajny**, niech pan powie, bo to ważne, bardzo ważne.

— Ważne? A co tu ważnego? No pracowałem w zakładzie przy naprawach samochodów. I ciągle słyszałem: pracuś, podliżuje się, przodownik pracy zafajdany, order chce dostać, będzie nas tu uczył, myśli, że co lepszego od nas, nie gadajcie z nim, bo wszystko zakapuje... I narzędzia psuli specjalnie, i materiały ginęły po drodze z magazynu. I ani z kim porozmawiać, ani z kim piwa wypić, ani pożartować... Nie było takiego, co by mi darował, że mnie sama robota cieszy, jak dobrze zrobiona. A jeszcze kiedyś okłamałem ucznia, że tak byle jak zrobił, że zaraz się znowu popsuje i człowiek będzie miał kłopot. I że ma poprawić. To bić mnie chcieli wtedy.

A na drogach dobrze. Nożyk naostrzę elegancko, jak brzytwę, nikt się o to nie pogniewa, nikomu nie przeszkadzam... Jak się, panie, chce coś zrobić tak jak trzeba, żeby było porządnie, to tylko samemu. Bo ludzie, z którymi się pracuje, gniewają się o to, bardzo się gniewają... — zamyślił się szlifierz, a potem coś sobie nagle przypomniał:

— Ale raz mnie krawiec pogonił, taką linią do mierzenia. Bo mu pięknie naostrzyłem nożyczki i gwałtem chciał płacić jak za nowe. Mówię mu: dla mnie te parę felerów za sztukę całkiem wystarczy, a jak pan się chce odwdzińczyć, niech pan kiedy komu

przyszyje guzik niedrogo, a porządnie. Niech się ktoś też ucieszy. Panie, jak krzyczał. Teraz już tak nie mówię, nie...

Już dawno wszystko naostrzył, ale się rozgadał.

„Widocznie nie ma z kim porozmawiać, musi sobie nadrobić” — pomyślał Aramis i żal mu się zrobiło. Nawet bardziej żal niż wtedy, kiedy dzieci go przeżywały.

— O rany, mogłabym sobie mieć takiego tatę — mruknęła Semiramida i zatępiła nosem w chusteczkę, choć nie miała kataru.

A szlifierz filozofował dalej:

— Nie są ludzie źli, panie, wcale nie są źli. I dobrzy też nie są. Nie jest człowiek człowiekowi wilkiem i nie jest człowiek człowiekowi bratem.

— No a czym? — zaciekawiała się Semiramida.

— To przecież wszędzie widać. Kieszenią jest, córuniu. Człowiek człowiekowi kieszenią. Tak, tak. Ani go pogłaskać, ani uderzyć, ani pokochać, ani rozumieć, ani razem co mądrego wymyślić, ani razem się pośmiać, ani razem popłakać. Tylko można dawać pieniądze albo brać pieniądze. I tyle wszystkiego. Dwie ręce i kieszeń — i już cały człowiek...

— To jest całkiem jak choroba — powiedziała Semiramida.

— Dobrze mówisz, dziecko, choroba, ciężka choroba.

— A pan nie zachorował.

— Jakoś chyba nie... — zamyślił się dziadek. — Może dlatego, że nie chciałem ze wszystkimi iść TAM. Bo to tak: choroba zaraźliwa i łatwo ją złapać od drugich. Ale się da uleczyć. Da się, dopóki się TAM nie weszło. Wtedy już trzeba TAM zostawić i serce, i głowę. Nie całą, bo ten kawałek głowy, co służy do liczenia, to nie. Ale całą resztę. Z wierzchu niby wszystko po dawnemu, człowiek jak człowiek — a głowy nie ma i serca nie. ma. Zostały TAM, na ofiarę. I już nie ulecysz człowieka. Ale ja wróciłem. Nie wyszedłem, nie.

— Ale gdzie? — zapytali oboje równocześnie.

— Nie byliście, to dobrze. Nie wychodźcie TAM nigdy.

— Ale gdzie? — powtórzył Aramis.

— Na SWOJE, panie. Pan z innego kraju, tak mi się widzi. Bo u nas każde dziecko wie. U nas każdy musi kiedyś wyjść na SWOJE.

— SWOJE... I gdzie to jest?

— Nie pytaj, córuniu, nie pytaj, gdzie, a jak się dowiesz, omijaj dalekim kołem. Czas iść dalej, bądźcie zdrowi.

Szlifierz zarzucił maszynkę na plecy i podreptał dość prędko przed siebie. Widać nie chciał więcej opowiadać. Tylko po paru krokach zatrzymał się, obrócił w ich stronę, chwilę stał i patrzył, a potem powiedział jeszcze raz:

— Bądźcie zdrowi.

Siedzieli i nic nie mówili. Dopiero po dłuższej chwili Aramis powiedział:

— Dziwny człowiek.

— Mówił tak jakoś fajnie, a potem to już trudno było zrozumieć. Co on opowiadał o tym wychodzeniu?

— A czy ja wiem? Taki dziadek jak chodzi i chodzi samotnie, to różne rzeczy może sobie wymyślić po drodze... Ale zobacz: dopiero pierwszy inny człowiek w tym kraju...

Wstali i poszli powoli dalej. Nic nie mówili do siebie, tak jak rano. Ale wtedy, bo się pokłócili. A teraz — bo byli bardzo zamysłeni.

Rozdział dziesiąty, który opowiada z zadyszką w głosie o tym, co wypadło z kubła ze śmieciami w miasteczku Upupa i dlaczego policjanci podarli spodnie — a kończy się straszliwą i niespodziewaną pułapką

Miasteczko Upupa niechętnie budziło się ze snu. Pomarańczowo odziany cieć na jezdni popychał miotłą jakiegoś śmiecia, przyglądał mu się z obrzydzeniem i za chwilę popychał go z powrotem. Dookoła pełno było innych śmieci, ale on właśnie dokucał temu jednemu.

Synogarlice na dachach jęczały głupkowato swoje „kugułku, kugułku”. Na zakrętach zrzędziły brudne tramwaje, wyłaziło z nich coraz więcej przygarbionych upupian. Szli chodnikiem, mijali po drodze stojące przed domami kubły na śmieci. Oczywiście nie patrzyli na nie, bo kubły jak kubły, co w nich może być ciekawego?

Ale jeden kubek zachowywał się jakoś dziwnie. Przed każdym przechodniem, który się do niego zbliżał, uchylał nieznacznie pokrywy. Kiedy upupianin go mijał, pokrywa przymykała się i słychać było jakieś mruknięcie.

— O tępały ponury. Tak. O tępały nadęty. Zgęsiały obojętny dwa razy — tak można byłoby usłyszeć, gdyby ktoś przystawił ucho do kubła.

Zbliżało się dwoje ludzi: duży i mały.

— No, proszę. Coś nietypowego. Uważny spokojny i bystry weso... we... oj... czy ja dobrze... Semiramida III — zawołał wielkim głosem kubek, przewrócił się, klapnął pokrywą i wysypał na chodnik niedużego, bardzo wybrudzonego pana z bródką.

— Dziadziuś mój, dziadziuś, kto ciebie tam wrzucił?!—wrzasnęła Semiramida wcale nie po patafijsku i zaczęła go ścisnąć. Upupianie omijali ich i przewrócony kubek z ponurymi minami, paru obejrzało się jeszcze, paru się zatrzymało patrząc dosyć podejrzliwie. Z daleka nadchodził policjant.

Kapitan Frument błyskawicznie ocenił sytuację i uznał, że jest całkiem inna, niż przewidywały instrukcje. Bo instrukcje na szkoleniu w Centrali- były takie, żeby spotkanie z profesorem odbyło się w największej tajemnicy i żeby nikt go nie zauważył.

Obejrzał się dookoła: nadjeżdżał autobus, ale w pobliżu nie było żadnego przystanku. Kapitan wyszarpnął z kieszeni stufelerówkę i wybiegł na jezdnię, machając pieniądzem. Autobus zatrzymał się i otworzył drzwi. Wskoczyli szybko, stufelerówka spoczęła w kieszeni kierowcy. Aramis zaczął coś tłumaczyć o odchodzącym pociągu, ale kierowca ani na niego nie popatrzył, tylko dodał gazu i ruszył. Zanim zamknął drzwi, do wozu zdążył jeszcze wskoczyć jakiś mały chłopiec z wypłowiałym chlebakiem.

— Dziadziuś, dziadziuś — powtarzała w kółko Semiramida i nagle kapitan poczuł się trochę jakby niepotrzebny. A zaraz potem poczuł, że się w nim w środku coś zezłościło na profesora, nie wiadomo czemu,

„Pewnie: szanowny pan profesor doktor, sława naukowa, wielki podróżnik, członek zagranicznych towarzystw naukowych i nagle w biały dzień na ulicy wypada z kubła ze śmieciami. I psuje cały plan naszego spotkania — wytłumaczył sobie Aramis

tę niespodziewaną złość. — Nawet hasła nie raczył powiedzieć. A człowiek tyle musi się namęczyć dla niego, w takiej ścisłej konspiracji".

Jechali dosyć długo. Autobus był już daleko od Upupy. Stał na jakimś przystanku nad rzeką. Było tu dosyć pusto. Tylko parę drzew przy drodze, rzeka obrośnięta krzakami wikliny, most, łąki, a na horyzoncie zagajniki.

— Wysiadamy — zakomenderował kapitan.

— Pociąg mu odchodzi... dziwne... — mruknął któryś pasażer.

Zaczekali, aż autobus zniknie na horyzoncie, i zeszli z nasypu nad rzekę. Brzegiem, pomiędzy wiklinami, biegła ledwie widoczna ścieżka wydeptana przez wędkarzy. Uszli nią kilka kilometrów w dół rzeki, potem ścieżka się zagubiła i już były tylko krzaki, olchy, błoto i komary.

— Wyjdźmy z tych krzaków — powiedział Aramis. — Trzeba się rozejrzeć po okolicy.

Odeszli trochę od rzeki, zrobiło się sucho, potem krzaki się skończyły, a za krzakami był stromy, wysoki brzeg.

Siedli sobie na krawędzi. Teraz dopiero kapitan przyjrzał się uważnie profesorowi. Profesor miał zamysłony i jakby trochę nieśmiały wyraz twarzy. Ale, że był wielkim podróżnikiem, miał tę twarz z jednej strony czerstwą, a z drugiej smaganą pasatami. Do tego krzaczaste brwi i krzaczastą bródkę. Wszystko razem budziło zaufanie, wyglądało bardzo sympatycznie i kapitan poczuł, że już wcale nie jest zły i że się bardzo cieszy ze spotkania.

Ale trudno mu było tak od razu zacząć rozmowę. Semiramida gadała cały czas i wyjaśniała, skąd się tu wzięła, dlaczego jest razem z tym panem, w jaki sposób uciekła oczopląsowi i jakie oboje z Aramisem mieli przygody.

Aramis tymczasem, jako dobry wywiadowca, zajął się przeglądem okolicy. I zauważył zaraz trzy ciekawe rzeczy.

Pierwsza rzecz, że okolica była dosyć bezludna, nigdzie nie było widać żadnych zabudowań.

Druga rzecz, że pod nimi rzeka rozgałęziała się na dwie odnogi, a w środku była spora wyspa, w większości porośnięta drzewami i gęstymi krzakami.

A trzecia... kapitan patrzył uważnie przez lornetkę. No, tak.

Na samochodzie, który pędził pełnym gazem szosą z Upupy w kierunku mostu, był wyraźny, duży napis: POLICUR. Oczywiście znaczyło to po patafijsku: POLICJA.

To trzecie było jednak trochę niepokojące.

„Jeżeli im chodzi o nas, to dopędzą autobus, dowiedzą się, że wysiedliśmy przy moście, wrócą zaraz i oczywiście pójdą za nami wzdłuż rzeki. Nie wiedzą, czy poszliśmy lewym, czy prawym brzegiem, w górę czy w dół, więc się rozdziela na cztery grupy. Mogą też użyć helikoptera — myślał gorączkowo kapitan i pomaçał się po kieszeni, gdzie były zapalniczki. Ale teraz nie było czasu na struganie, należało działać. Oczywiście błyskawicznie. —Tylko wyspa. Tam na pewno nie będą szukać”.

Zerwał się na nogi.

— Idziemy, szybko. Policja na tropie, niedługo tu będą — powiedział energicznie. —Za mną!

— O cie pępek... —jęknęła Semiramida. —Akurat mi się teraz chce z policją ganiać... To ta policja od naszego terrorysty czy ta od dziadziusiowego kubła ze śmieciami?

— Szybko, szybko — pogañał kapitan.

Znaleźli się w krzakach, błoto było znowu coraz większe, wreszcie między krzakami pokazała się woda.

— Dziadziuś, trzymaj się, nie wleć do bagna. Ojej, czy my będziemy nurkować w tej rzece?

— Niemożliwe, mój materiał badawczy, moje notatki — złapał profesor w obie ręce swoją torbę podróżną.

Ale kapitan sięgnął do bocznej kieszeni plecaka, wy dostał stamtąd niedużą, miękką paczuszkę i pokręcił błyszczącą śrubką, która z niej wystawała. Coś narobiło wściekłego syku, paczuszka pękła z wierzchu, zaczęła rosnać, rosła i syczała, syczała i rosła... aż wreszcie przed nimi leżał na trawie piękny, nadmuchiwany ponton. Nie z gumy, ale z jakiegoś cieniutkiego, przezroczystego plastiku.

— Ojeeju... — zachwyciła się Semiramida.

Kapitan rzucił do wody maleńką, niepotrzebną już stalową buteleczkę, z której wszystek gaz wyleciał, zakręcił zaworek przy pontonie i powiedział:

— Wsiadamy.

Woda ich zniosła, niewiele brakowało, a ominęliby wyspę. Wiosłowali rękami, bo na to, żeby zmontować składane wiosła, było za mało czasu. Każda sekunda była droga: przecież policja też miała lornetki.

I rzeczywiście, ledwie zdążyli wyskoczyć na brzeg i wciągnąć ponton w krzaki, auto z napisem POLICUR już było z powrotem na moście. Kapitan zobaczył przez lornetkę, jak wyskakują z niego małe figurki i zbiegają po nasypie nad rzekę. Teraz już było wiadomo na pewno, że to właśnie o nich chodzi.

— Nie bardzo... — westchnęła Semiramida.

— Tak, wydaje się być faktem bezspornym i ewidentnym, że obecna nasza sytuacja zawiera pewne elementy sytuacji krytycznej — powiedział profesor. —Wszelakoż jednak, abstrahując od okoliczności...

— Cicho, dziadziuniu, no cicho. Dziadzius zawsze mówi po ludzku, tylko jak jest bardzo zmęczony albo jak ma pietra, to taką mowę wstawia naukową —wyjaśniła Semiramida kapitanowi.

— W każdym razie wejdźmy głębiej w krzaki.

Krzaki przy brzegu bardzo gęste, bliżej środka wyspy się przedzieliły. Rosło tam za to trochę olch, na pagórku dwa stare dęby, a trochę dalej kilka wielkich krzewów czarnego bzu. Natychmiast zleciały się do nich komary, aż zrobiło się gęsto w powietrzu. Semiramida zaczęła klepać się po szyi i przeklinać.

— Proszę nie klaskać, pościg się zbliża — powiedział kapitan bardzo grzecznie, na wypadek gdyby profesor też zechciał zapolować na komary. Ale profesor nie na darmo spędził pół roku samotnie w bezkresnych moczarach i dżunglach wysp Ngato-Ngato. Siedział spokojnie i tylko mrużył oczy.

Komary dokuczały coraz bardziej, trzeba było jednak coś na to poradzić.

Kapitan sięgnął do bocznej kieszeni plecaka i wyjął z niej mały aparacik, podobny do zapalniczki. Postawił go w rozwidleniu gałęzi i nacisnął guziczek. Komary zakręciły się w powietrzu jakoś niezdecydowanie, chwilę tak latały dookoła i nagle zrobiło się pusto. Wszystkie uciekły.

Profesor przytknął nos do aparacika.

— Brzęczy jak komar — uśmiechnął się z zadowoleniem i podrapał po bródce. — Generator informacji odstrasających?

— Zgadza się — powiedział kapitan — z tym, że to udoskonalony model. Do pogróżek dodano inwektywy i kilka dość dosadnych obelg, czyli wyzwisk.

— Coś ty, w języku komarzysz? — zainteresowała się Semiramida.

— Aha.

— Jakich, jakich? Powiedz koniecznie!

— Tajemnica służbowa. A poza tym inwektywy i obelgi są niecenzuralne, nie dla dzieci. Dozwolone od lat osiemnastu..

— Yyy, dorosły. Wymądrzasz się, wujek, całkiem jak ten oczopłaz.

— Cicho... — kapitan chwycił ją za rękę. — Już są na drugim brzegu... — Sięgnął po kierunkowy podsłuchiwacz, pokręcił nim w prawo i w lewo. Odbiór był bardzo zły, głos odbijał się od drzew, szumiała rzeka, głużyły krzaki.

— ... Raczej tędy, brzegiem krzaków... bagno... o szlag by to jasny, moje spodnie; rozdarłem nogawkę... daleko w przodzie... z osiem kilometrów... szybciej... że oni w górę rzeki... co się martwisz, helikopter... o cholera, ale wdepnąłem...

I już głosy się zacierały, nic nie można było rozróżnić.

Za chwilę obława przeszła drugim brzegiem rzeki. Tam było więcej drzew, nie dało się zrozumieć, co policjanci mówią.

— Na razie mamy spokój — powiedział kapitan. — Ale myślę, że lepiej będzie ze dwa dni tutaj odczekać.

— Za kichane policury — powiedziała Semiramida.

— Widzisz, z ich punktu widzenia, trudno się dziwić — powiedział profesor. — Najpierw im tłuczemy szklarnie, no bo przecież myślą że to nasza sprawa, potem ich podglądamy z kubła na śmieci i jeszcze okazuje się, że obcokrajowcy...

— Właśnie — zainteresował się Aramis. — A co pan właściwie, panie profesorze, jeżeli wolno mi nieśmiało zapytać, robił w tym kubku na śmieci?

— Prowadziłem systematyczne badania, drogi panie...

— Aramis. Kapitan Aramis Frument — przedstawił się kapitan.

— O cie pępek... Kapitan... a ja myślałam... Ojej, ale się wygłupiłam... Wujek... a... a ja to jaki stopień...

Ale profesor tłumaczył dalej:

— Systematyczne badania, kochany panie Aramisie. Nad nastrojem porannym Patafian. Nastrój ten, zwany przez niektórych badaczy aurą poranną, uwidacznia się najlepiej w wyrazie twarzy i w sposobie chodzenia. Do pomiarów służy prosty przyrząd — aurometr, który rejestruje rodzaj promieniowania wysyłanego przez centralny układ nerwowy. Po skierowaniu aurometru w stronę oblicza badanej osoby wskazówka pokazuje jego nastrój na dwóch skalach. Dane wpisuję do tych tabel, o — i profesor wygrzebał z torby gruby zeszyt od polskiego. Porysowany był w wiele rubryk, a w poszczególnych rubrykach było mnóstwo kropek.

— Proszę zobaczyć, wyniki z dzisiejszego rana: największa ilość w rubrykach „otępiały przygnębiony”, „opypciały ponury”, „zgęsiały beznadziejny”. Nieco mniej, ale też sporo, takich: „podniecony nadęty”, „podniecony złowrogi”, „zaciekły ponury” i „zaciekły nadęty”.

— Niewesoło... —mruknął kapitan.

— Tak... jeszcze jest paru „otumanionych zatroskanych”. Nie ma wesołych, ożywionych, bystrych, zamyślonych, rozradowanych, pogodnych, zaciekawionych, rozmarzonych... Prawie nie ma, mówiąc ściśle. Trafiają się, ale rzadko i są to wyłącznie dzieci. Dorosłego w tej grupie mam dopiero jednego. O, tutaj go zaznaczyłem: „zamyślony pogodny”.

— Może taki, który ostrzy noże?

— Skąd wiesz, dziecko? Tak, pamiętam go doskonale, taki wędrowny rzemieślnik... No, więc potem, po zebraniu kilkudziesięciu tysięcy takich pomiarów, zliczę to wszystko, porobię wykresy i opracuję profil porannych nastrojów Patafian.

— Dziadziu, a czemu akurat poranny nastrój, a nie wieczorny?

— Nastrój poranny najwięcej mówi o człowieku, bo to jest chwila jego spotkania z nowym dniem. Widać, co on o tym dniu myśli, jak go wita, czego się po nim spodziewa... Bardzo, bardzo ciekawe są to wyniki. Już z próbnej serii pomiarów widać, że to są ogromnie nieszczęśliwi ludzie. O, proszę, niech pan spojrzy: to krzywa Gaussa ze wstępnych podliczeń mieszkańców Bom-

belnika. Jak bardzo zniekształcona w porównaniu z normalną, prawda?

— Dobra, dziadziuś, a ty im potrafisz tę krzywą gaisę jakoś wyprostować?

— Aaa, skarbie, to jest sprawa znacznie trudniejsza. Jeszcze trzeba bardzo wielu badań i doświadczeń. Na razie nie wiem, notuję objawy, ustaliam ich częstotliwość. Potem trzeba szukać przyczyn, dlaczego tak jest, a potem dopiero można myśleć o leczeniu... Ogromna, ogromna praca...

Robił się już wieczór, trzeba było pomyśleć o noclegu. Kapitan wyciągnął z bocznej kieszeni plecaka sporą kopertę z plastiku, wyrzucił z niej zwiniętą cienką tkaninę i kilka błyszczących pręcików wielkości ołówka. Pręciki porozciągał do długości półtora metra — były teleskopowe jak antena od tranzystora, poustawiał je na ziemi, narzucił na nie tkaninę i już stał piękny, obszerny namiot z tropikiem. Zamiast zamków błyskawicznych miał sznury magnetyczne.

— Jeju, wujek, co ty jeszcze masz w tej bocznej kieszeni? — zdumiała się Semiramida.

— Jeszcze parę drobiazgów... Na przykład kolację błyskawiczną.

Wyjął małe pudełeczko ze sporymi, żółtymi pastylkami. Wrzucił pastylki do wody, postawił menażkę na pudełeczku.

— Podgrzewacz ultradźwiękowy? — zapytał profesor.

— E, nie, ultradźwięków już nie używamy, zbyt łatwe do wykrycia. To jest kondensator promieni kosmicznych, dwie godziny samoczynnego ładowania dają energię do zagotowania pięciu litrów wody.

Woda już wrzała, pigułki w kociołku zaczęły puchnąć, rosnąć... Za chwilę gotowe były ogromne, pachnące pyzy.

— Jeszcze trochę smalcu z cebulką...

— Też syntetyczny?

— O, nie — powiedział kapitan z godnością. — Smalec prawdziwy i cebulka na złoto. Innej nie uznaję.

Najedli się, poszli spać. W krzakach czasem trzasnęła jakaś gałązka, ale byli na wyspie, więc kapitan się tym nie interesował.

I może dlatego obudzili się w połowie nocy, mając nad sobą

jakieś zamaskowane postacie, które szybko i sprawnie ich wiązały. Kapitan nie zdążył użyć żadnego z chwytów jakakura, które miał mistrzowsko opanowane, a już siedział pod olchą zakneblowany, z rękami związanymi z tyłu za pniem.

Niedaleko tak samo związany siedział profesor, a obok, pod sąsiednim drzewem, Semiramida. Też była zakneblowana, okulary jej spadły i leżały w trawie, ale mówiła coś oczami. Kapitan popatrzył uważnie i zrozumiał, co mówi:

— Nie bardzo.

Aramis całkowicie się z nią zgodził.

Napastnicy byli w cywilu, i to w cywilu dosyć obszarpanym. I zupełnie nie wyglądali na policjantów.

Rozdział jedenasty, krew mrozący w żyłach, w którym poznajemy osobiście z bliska terrorystę i słyszymy po raz pierwszy groźne słowo „myrło”

Pod dębem paliło się nieduże ognisko. Czterech opryszków kucalo koło niego z zadowoleniem. Wprawdzie twarzy nie było widać spod masek, ale w samym kucaniu było już tyle zadowolenia, że aż dreszcz przechodził po plecach.

Ognisko paliło się w tym samym miejscu, gdzie trawa była już dawniej wypalona.

Semiramida patrzyła na zamaskowanych i na kapitana. Teraz mówiła oczami:

— Uwaga w dzienniczku i dwójka na szynach z wykrzyknikiem w zeszycie. Wyspa wcale nie była bezludna, a szanowny pan wywiadowca specjalny poszedł spać beztrąsko jak harcerzyk na obozie...

Niestety, była to prawda. A teraz było już za późno. Żeby choć ręce mieć wolne...

Zamaskowani grzebali w torbie z notatkami profesora i w plecaku Semiramidy. Rozrzucali wszystko dookoła z pogardą, nie było tam niczego interesującego dla nich.

Kapitan rozejrzał się za swoim plecakiem. Nie było go nigdzie widać. Zaraz... Jak to było? No, tak. Po prostu plecak został pod

krzakiem dzikiego bzu, zakryty gałęziami. Dlatego nie znaleźli go jeszcze. Krzak dzikiego bzu był kilkanaście metrów za nim.

Opryszki wytrzepały już wszystko z plecaków.

— Taak... — powiedział złowrogo jeden z nich, wielki i czarny. — No to jak: bierzemy się za nich?

Tamci trzej kiwnęli głowami.

— Kogo na początek?

Czarny wskazał ruchem głowy na profesora. Dwóch kompanów podeszło do niego powoli, jeden z białą serwetą, a drugi z wielkimi nożycami.

Kapitan szarpał się pod swoją olchą, o mało sobie rąk nie wyłamał. Na próżno. Jeden z zamaskowanych wprawnym ruchem związał profesorowi serwetę na szyi, chwycił go za głowę. Drugi złapał za brodę, piękną, krzaczastą bródkę wielkiego uczonego — i zaczął powoli, z okrucieństwem obcinać ją nożycami. Semiramida wyrywała się i jęczała pod kneblem, a w głowie kapitana latały tam i z powrotem różne sposoby i fortele, jakich uczono go w Akademii Wywiadowców. Mogły sobie latać. Ręce były dobrze związane, a ostatni kosmyk krzaczastej bródki opadł na serwetę.

— Włoski? — popatrzył zamaskowany krytycznie na rzadką fryzurę profesora.

— Skubnij — machnął ręką lekceważąco Czarny. — Chociaż z tamtego będziemy mieli lepszą perukę.

Z tyłu za kapitanem coś delikatnie zaszeleściło, potem dotknęło jego związanej ręki. Poruszył palcami — miał w ręce sprzączkę swojego plecaka. A zaraz potem zimne dotknięcie noża, szybki ruch ostrza między jego dłońmi — i ręce były wolne. Kapitan zaczął natychmiast szukać rękami bocznej kieszeni plecaka. Plecak jakby sam się obrócił do niego tą kieszenią, była odpięta. Jeden ruch prawej ręki do środka, Aramis już trzymał to, co mu było potrzebne.

Nogi, jeszcze nogi związane.

Nóż, który dopiero co przeciął więzy, teraz sam wsunął mu się do lewej ręki. Kapitan błyskawicznie przeciął sznur na nogach i skoczył jak tygrys do Czarnego, który tymczasem strzygł niepozorną czuprynkę Semiramidy.

Czarny osunął się na ziemię bez jęku. Zanim jeszcze skończył się osuwać bez jęku, już chwiał się na nogach drugi zamaskowany. Trzeci rzucił się na pomoc, jeden ruch wyciągniętej prawej ręki — i też już leżał. Czwarty zaczął uciekać, ale potknął się na pniaku i dotknięty przez Aramisa — znieruchomiał.

Kapitan szybko uwolnił ostrzyżonego profesora i nie dostrzyżoną do końca Semiramidę. Potem przyciągnęli napastników i ułożyli w rzędzie obok siebie, niedaleko ogniska. Chrapali wszyscy równiutko, a Czarny, choć największy, chrapał najbardziej piskliwie.

— Dobrze uśpieni — mruknął profesor, trzymając się za gołą brodę. — Może by ich kocem, bo jeszcze się przeziębą...

— Pokaż, pokaż, wujek, czym ich tak doprawiłeś?!

— Uważaj, nie naciśnij — Aramis wręczył jej małe plastikowe jajko wielkanocne z dziurką.

— Psikawka!

— Psikawka usypiająca ekspresowo. Pożyteczna rzecz, obywatelnia bezszmerowo i bezboleśnie.

— No to masz, schowaj. A ten nóż... ty, wujek, ty nie miałeś takiego noża, pokaż!

Dopiero teraz Aramis zastanowił się: kto go uwolnił? Rozejrzał się szybko: nie było tu nikogo prócz nich. Plecak leżał otwarty, pod olchą. I tylko ten cudzy nóż w ręce...

Semiramida oglądała go uważnie, potem podniosła głowę.

— Ja go widziałam, to jest ten nóż do przecinania opon... — powiedziała i nagle zaczęła podskakiwać z uciechy. — Terrorysta, mój terrorysta, ale fajnie, wujek, dawaj kielbasę, bo on pewnie głodny! Widzisz, mówiłam ci, że on będzie szedł za nami! Daj kielbasę, no daj!

— Nigdzie nie pójdziesz — kapitan chwycił ją za rękę.

Semiramida szarpnęła się wściekle.

Profesor powiedział nieśmiało:

— Dziecko, zostań z nami, proszę. Już nie mam mojej brody... Nie chodź...

Semiramida przytuliła się do niego.

— Mój dziadziuś... Wyrośnie broda, zobaczysz, no zobaczysz. Dobra, nie pójdę. Ale zawołaj, wujek, tego terrorystę.

Aramis podszedł do krzaka bzu, gdzie przedtem był jego plecak. Nikogo tam nie było. Potem wszedł jeszcze kawałek między drzewa i zawołał bardzo głośno:

— Panie terrorysto! Chciałbym oddać pożyczony nóż! I podziękować! I jeszcze chcemy pana wszyscy zaprosić na wspólne śniadanie!

Bo choć w lesie była jeszcze noc, niebo na wschodzie robiło się już coraz jaśniejsze.

Kapitan zawołał jeszcze raz:

— Panie terrorysto!

Cisza, nic się nie odezwało, nic się nie poruszyło, tylko słychać było chrapanie uśpionych złoczyńców.

Oskubany profesor mruczał przy ognisku:

— Wydaje się być rzeczą niewątpliwą, że ta wyspa jest terenem dość interesującym. Choćby takie drobne, przypadkowe spotkanie, proszę: czterech opryszków — fryzjerów, trzech... przyznajmy się szczerze, agentów obcego wywiadu i jeden terrorysta z nożem. Hm, hm.

Widać było, że uczony z lekkim niepokojem oczekuje tego spotkania.

Aramis wrócił zniechęcony, siadł przy ognisku i powiedział:

— Nie będę przecież w nocy polował na niego po lesie. Myślę, że nie będzie nam robił przykrych niespodzianek, skoro nam pomógł.

— Przyjdzie, przyjdzie — powiedziała Semiramida. A potem podniosła głowę, uśmiechnęła się od ucha do ucha. — O, już przyszedł.

Pod najbliższym dębem, oparty jedną ręką o pień, stał chudy chłopaczek z ogromną czarną czupryną i błyszczącymi oczami. Może był w czwartej, a może w piątej klasie. Przez ramię miał przewieszony stary, wypłowiały chlebak.

Semiramida pokazała palcem.

— To właśnie jest mój terrorysta. Uważaj, wujek, bo ci ćma wleci do buzi.

Profesor uśmiechnął się z ulgą i zawołał:

— Cześć, chłopcze! To ty właśnie tak świetnie kroisz opony i tłuczesz szklarnie? To musi być bardzo ciekawe zajęcie!

Tak powiedział, bo był między innymi profesorem psychiatrii, i pomyślał, że chyba chłopiec jest nie bardzo w zgodzie z rozumem, jeżeli takie zajęcie sobie znalazł. A wiadomo, że trzeba zaczynać od chwaleń takich ludzi i zgadzania się ze wszystkim, co robią.

Chłopiec nic nie powiedział, tylko zmarszczył brwi.

Semiramida podbiegła do niego i chwyciła za rękę.

— Chodź, nie złość się, dziadziuś tylko żartuje. A zresztą on też tłuł szyby, jak chodził do szkoły. No chodź, mamy fajną kielbasę!

— Chyba nie mamy — powiedział kapitan. — Opryszki zjadły.

— No to wujek zrobi pyzy ze smalcem i z cebulką na złoto, no nie? Zrobisz, wujek, bo już jesteśmy głodni, zaraz będzie rano...

I nagle przypomniała sobie o swojej czuprynie. Z jednej strony była wystrzyżona całkiem krótko, prawie do czubka głowy, tak jak czasem na wsi strzyże się małych chłopców, a z drugiej po dawnemu sterczały na różne strony jasne kosmyczki.

— Jeeju... co oni mi zrobili... Jeju, jak ja teraz wyglądam, nie patrzcie na mnie! Co ja zrobię?

Chłopiec zaczął szperać w swoim chlebaku. Wyciągnął z niego śmieszny czapeczkę płócienną z daszkiem, białą cyklistówkę w niebieskie paseczki, i bardzo poważnie podał Semiramidzie.

Złapała ją i wcisnęła na głowę. Teraz nie było widać, że kawałka fryzury brakuje.

— Całkiem jak chłopaczysko — mruknął kapitan. — Ale doskonale wyglądasz, wiesz?

Semiramida zatańczyła, a potem rzuciła się na terrorystę i uściśkała go z całej siły.

Pyzy były dobre, tajemniczy chłopiec zjadł ich sześć. Bardzo był głodny. Nie dało się jednak z nim porozmawiać, milczał uparcie, profesor już zaczął się zastanawiać, czy biedak nie jest niemową. A może wychowany w lesie przez zwierzęta, jak to było w jednej pięknej książce?

Ale chłopak pokazał palcem za siebie i powiedział krótko:

— Uwaga.

Obejrzeni się. Czarny opryszek mruczał coś przez sen i zaczynał

się ruszać. Aramis skoczył do swojego plecaka i przybiegł z linką. Szybko związał ręce i nogi Czarnego, potem jego trzech kumpli i popatrzył na zegarek.

— No tak, już niedługo środek nasenny przestanie działać.

— I co my z nimi zrobimy? — zmartwił się uczony.

— Znajdzie się sposób, niech się pan nie boi, panie profesorze.

— Ale chyba...

— Ależ skąd. Mam instrukcje, żeby w tym kraju nikomu nie wyrządzać szkody i nie wtrącać się w wewnętrzne sprawy Patafii — powiedział cicho kapitan, żeby chłopiec nie słyszał. — Krzywdy im nie zrobię, choć miałbym ochotę.' Załatwimy sprawę szybko i wesoło, zobaczy pan.

— Ale jak... o, cicho, on coś mówi... — czarny opryszek coś powtarzał przez sen. — Co on mówi?

— Niewyraźnie... tylko to jedno słowo, jakoś: łyrło, czy myrło...

— Myrło?! — profesor zerwał się z miejsca. — Tak! Powinienem był się domyślić. Czy pan wie, co to za ludzie, w czyje ręce myśmy wpadli, dlaczego straciłem brodę? Myrło... To są ludzie ogromnie niebezpieczni, kapitanie. Nie słyszał pan o tym gangu?

Drugi z gangsterów zaczął się poruszać niespokojnie. Czarny, jeszcze półprzytomny, już otwierał oczy.

— Profesorze, nie mamy czasu, nie chcę na nich drugi raz marnować usypiacza. Szybko z tym Czarnym do pontonu, pomoże pan?

Pomogli wszyscy, za chwilę już związany opryszek był nad wodą. Nadmuchali ponton, kapitan przyniósł składane wiosła i popłynął na drugi brzeg. Tam wywłókł gangstera z pontonu, sprawdził linkę na rękach i nogach i zawrócił po następnego.

Kiedy miał płynąć z ostatnim, wrócił jeszcze pod dęby, sięgnął do bocznej kieszeni plecaka i wyjął stamtąd coś niewielkiego.

Profesor był ogromnie zaintrygowany: jak kapitan może ich unieszkodliwić?

Tymczasem to było bardzo proste.

Wyciągnęli ich na wysoki brzeg, z którego wczoraj wypatrzyli wyspę, obudzili ich zupełnie. Kapitan postawił pierwszego na nogi, tyłem do rzeki. Wyciągnął z kieszeni niewielki metalowy pojemniczek. Na pojemniczku był napis: Schmyr-Gay. Przystawił

opryskowi do nosa, coś zasyczało. I powiedział wyraźnie i powoli:

— Szmyrgaj. W przerażeniu, w podskokach z przysiadami co sto dwadzieścia metrów. — I błyskawicznie rozciął mu więzy.

Gangster zerknął na niego nieprzytomnym wzrokiem, skoczył do przodu i popędził. Wszyscy patrzyli na jego kangurze skoki. Nagle zatrzymał się, kucnął na sekundę i znów popędził dalej.

Kapitan z niezadowoleniem przyjrzał się pojemniczce z gazem.

— Chyba przedatowany... To było co najmniej sto pięćdziesiąt metrów, a ja mu zakodowałem przysiady co sto dwadzieścia...

Potem tak samo wyprawił w świat trzech pozostałych.

Semiramida skakała na jednej nodze i darła się z uciechy.

— O cie pępek, jakie to śliczne, wujek, za ten jeden Schmyr-Gay to cię zaraz powinni zrobić pułkownikiem. O jak oni cudnie szmyrgają!

— To jeszcze nic — powiedział kapitan. — Ale wyobraź sobie, jak to ładnie wygląda, kiedy cała armia zjeżdża, w podskokach z przysiadami. Schmyr-Gay to najnowszy bojowy środek psychotropowy. Do niedawna był otoczony najgłębszą tajemnicą. Ale... pamięta pan, profesorze, nieudaną interwencję zbrojną Burburii na terytorium Bikaverii?

— A tak, odbiła się szerokim echem.

— W opinii światowej —dopowiedziała Semiramida. — Jak to było, dziadziusiu?

— Tak, oczywiście, dziecko, światowej. Bikawerczyki chcieli sobie wprowadzić nową konstytucję, podobno sprawiedliwszą od starej. I jeszcze wygonili burburskich kupców. A Burburom się to nie podobało, bo na starych prawach w Bikaverii ich kupcy mogli więcej korzystać. Najpierw więc pogrozili, że im nie wolno u siebie niczego zmieniać, a potem posłali wojsko.

— No i co, i co?

— Ano, nic. Ciężko uzbrojeni Burburowie przeszli granicę, bo taki mieli rozkaz i musieli słuchać. A tu za granicą w krzakach wojska bikawerskie w swobodnych wdziankach, tylko z tymi pojemniczkami. I jeden potężny okrzyk z tysięcy gardeł: „Szmyrr-gaaj!” I tamci w tył zwrot, w podskokach, z tym ciężkim uzbroje-

niem... Podobno Bikaverczycy mieli filmowców, którzy nakręcili film z tej kampanii.

— I co, dziadziuś, widziałeś ten film?

— Nie, bo Burburowie bardzo przepraszali i ubłagali Bika-verię w Sejmie Narodów, żeby tego filmu nigdzie nie wyświetlać. Tak im wstyd było.

— Ale to klawo, dziadziuś. I żaden żołnierz nie zginął, tylko się trochę zmęczeni...

— A teraz wszystkie tajne instytuty wojskowe pracują nad zastosowaniem gazu Schmyr-Gay przeciwko czołgom i samolotom — powiedział kapitan. — Ale to nie takie proste: pojemniki z gazem w pociskach samonaprowadzających działają dobrze, ale sygnał „szmyrgaj” przekazywany z taśmy przez megafon pocisku — nie skutkuje.

— Oczywiście, w dramatycznych sytuacjach samo mechaniczne odtworzenie dźwięku nie może mieć tej siły przekonywania, co prawdziwy głos napadniętej osoby. Badałem kiedyś te zagadnienia.

Opryszków już nie było widać. Aramis podniósł do oczu lornetkę. Pod samym horyzontem wypatrzył cztery podrygujące punkciki.

— A tymczasem będziemy mieli burzę — powiedział profesor.

Rzeczywiście, od zachodu sunęły ciężkie chmury, w których coś groźnie mruczało.

Kiedy stanęli na wyspie, w drzewa uderzył nagły wichur, a po nim rozszumiał się ulewny deszcz.

Rozdział dwunasty, który przenosi nas dwadzieścia lat wstecz, w góry południowego regionu Botunarobi, oraz wyjaśnia ponurą tajemnicę myrła

Łało okropnie już trzecią dobę, a oni siedzieli sobie we czwórce w namiocie pod kocami, gryźli pestki z dyni i rozmawiali. Pestkami poczęstował wszystkich terrorysta. Miał ich pół chlebaka.

Jakoś niezręcznie było mówić do niego: terrorysto. Tylko

Semiramida twierdziła, że tak jest najładniej. Ale profesor dotąd cierpliwie wypytywał, wtrącając przy okazji różne wesołe historyjki, aż terrorysta wreszcie przyznał się, że ma na imię Hadrian.

To imię było teraz ogromnie modne w Patafii. Wędrując słyszeli niejedną mamusię, wołającą swojego Hadrusia na obiad albo upominającą, żeby Hadreczek nie brudził rączek.

— Yyyy... Hadreczek..

— A ty? Sera mi da, sera mi da — wykrzywił się Hadrian. — Dawaj sera, no?

— A chcesz dostać? Ja ci się powyzywam. Jak ci przysunę, to...

To była ich pierwsza dłuższa rozmowa. O takich rozmowach pisze się w książkach, że „pierwsze lody zostały przełamane”. Rozmawialiby tak jeszcze dłużej, ale Aramis im przerwał. Bał się, że będzie musiał na deszczu stawiać namiot od nowa.

— A nasi biedni gangsterzy biegną tam bez parasoli... — z troszczył się profesor.

— E, nie, po takiej dawce biegnie się najwyżej pół dnia — uspokoił go kapitan. — Potem już można iść spokojnie albo odpocząć. Schować się gdzieś przed deszczem też można.

— Biedni, biedni — wykrzywiła się Semiramida. — Jakby dziadziusia ludożerca jadł, dziadzius jeszcze by mówił, że biedny, bo nie ma serwetki pod brodę, noża, widelca i solniczki.

— A ty myślisz, że jak ktoś robi coś złego, to już nie może być biedny? Nieraz jeszcze bardziej biedny niż ten drugi, któremu on coś złego zrobił.

— Mowa... Ale cuda opowiadasz, dziadziusiu...

— Widzisz, a to właśnie naukowy sposób myślenia, a nie żadne cuda. Jak zmoknie na deszczu dwóch ludzi: porządny i gangster, to wszyscy mówią o pierwszym: „O, biedny, zmókł”. A o drugim: „O, wstrętny gangster”. Tak, tak. Nie naukowo. Trzeba wszystko widzieć: „O, wstrętny gangster, biedny, zmókł”. Dopiero wtedy jest ścisła prawda. Tylko ludzie nie potrafią myśleć ściśle i naukowo...

— Panie profesorze — przypomniał sobie Aramis — pan wspominał, że wie coś o tych opryskach, musiałem wtedy panu

przerwać, bo już się budzili, bardzo przepraszam. Mógłby pan opowiedzieć, co to za jedni?

— Wiele przesłanek wydaje się wskazywać, że mogą to być członkowie gangu handlarzy myrłem. Niezwykle szkodliwe i niebezpieczne towarzystwo...

— Myrłem? Co to takiego myrło?

— Myrło, ho, ho... — zaczął profesor dosyć złowrogim głosem. Wszyscy poczuli się nagle trochę nieswojo. — Z myrłem spotkałem się po raz pierwszy dwadzieścia lat temu, w niedostępnych górach południowego regionu Botunarobi. Po dwuletnim pobycie w chatkach plemienia Bumbelayka udało mi się serdecznie zaprzyjaźnić z ich wodzem i kapłanem w jednej osobie.

— A-jak on się nazywał?

— Nazywał się Ani Mru Mru. Przeważnie był człowiek, w samej rzeczy... — profesor w zamyśleniu pogłaskał powietrze w miejscu, gdzie przedtem była bródka. — Ten Ani Mru Mru opowiedział mi w zaufaniu, czemu bujnie uwłosieni młodzieńcy muszą stać całymi dniami i nocami na wierzchołkach najwyższych drzew w okolicy. Początkowo sądziłem, że to jedna z prób charakteru przed inicjacją, czyli pasowaniem na mężczyznę. Ale okazało się, że byli do tego zmuszeni koniecznościami natury ekonomicznej.

— Ekonomicznej? W pleminiu Bumbelayka? Na czubkach najwyższych drzew?

— Tak, moje dziecko, słuchaj dalej. Otóż po zejściu z "drzew młodzieńcy, których fryzury pokrywały już szaro-białe plamy, byli suszeni, a następnie starannie czesani, a to, co zostało wyczesane, zbierano troskliwie do ostatniego pyłka i zawijano w liście palmowe.

— Ale co to było? — kapitan był coraz bardziej zaciekawiony.

— To było właśnie myrło. Inaczej mówiąc — pamiątki, jakie zostawiały tam ptaki z gatunku *Myriolax peregrynans* L., czyli Pitpitacz wędrowny. Ptaki te najchętniej nocują na ludzkich fryzurach, o ile oczywiście znajdą kogoś tak uprzejmego dla nich, jak owi młodzieńcy z plemienia Bumbelayka.

— Ale do czego mogło służyć myrło?

— Tego niestety nie wiedział nawet sam Ani Mru Mru. Wiedział tylko tyle, że raz na kilka miesięcy przechodzi przez ich okolice karawana dziwnie ubranych białych ludzi, którzy płacą za myrło ogromne ceny. Oczywiście płacili nie pieniędzmi, ale plastikowymi wykałaczkami, bo one były w tym plemieniu symbolem bogactwa. Dlatego właśnie wspomniałem o względach natury ekonomicznej. Najbogatsi członkowie plemienia mieli tyle wykałaczek nawtykanych we fryzury, że włosów prawie nie było widać.

— No i nie wiadomo, po co białym było to myrło?

— Jednak się dowiedziałem. Bumbelaykowie przechowywali je w dżungli, dość daleko od swoich osiedli, bardzo szczelnie zapakowane.

— Dlaczego?

— Otóż, moi kochani, myrło bardzo silnie przywabia owady z rzędu pluskwiaków. W miejscu przechowywania go w dżungli roiło się od przepięknych, kolorowych pluskwiaków tropikalnych. A biali ludzie... No cóż, wysunąłem przypuszczenie, że może potrzebne im do ściągania pluskiew na domy innych ludzi. Ani Mru Mru powiedział, że to niemądry żart: czy ktoś byłby na tyle głupi, żeby płacić tak drogo za możliwość zaszkodzenia innemu człowiekowi?

— Życia nie znał — powiedział z całym przekonaniem Hadrian.

— Tak, mój kochany, niestety. Jest w naszym języku powiedzenie: „opluskwic kogoś”. Chętnych do opluskwiania bliźnich nie brakuje, a metoda jest bardzo prosta: wysypać maleńką ilość prawie niewidocznego proszku u znajomego w domu i cichutko się wynieść. Dlatego właśnie myrło dostarcza gangsterom ogromnych dochodów...

— Ale tutaj, w Patafii?

— Tutaj też jesienią odbywają się przeloty stale wędrujących pitpitaczy. Oczywiście nikt nie da się namówić na sterczenie całą dobę na drzewie i nadstawianie im własnej fryzury. Ale pitpitacze są na tyle głupie, że nie odróżniają człowieka od kukły z ludzką peruką na głowie. Pamięta pan, panie Aramisie, co ten opryszek o panu powiedział?

— Jakoś tak: „Z niego będzie lepsza peruka...” Coś niesamowitego.

— I pomyśleć, że moja broda też miała służyć tym haniebnym celom...

— A na tej wyspie oni chyba mają metę, prawda, dziadziu? I nas przypadkiem tutaj spotkali. Oni tu nieraz przyjeżdżają: ogień był już kiedyś palony i trawa wydeptana...

— Możliwe, dziecko, możliwe... A gdzie ty idziesz, chłopcze?

— Nigdzie... Tak sobie... bo już nie pada.

Rzeczywiście, deszcz ustał i tylko ciemne, postrzępione chmury przelatywały nisko ponad drzewami.

Rozdział trzynasty, który z wypiekami na twarzy (o ile rozdział ma twarz) opowiada, co czasem można znaleźć na wyspie gangsterów, oraz relacjonuje poufną rozmowę terrorysty z miśkiem Pumpą

— Wygląda na to, że może się już wypogodzić — powiedział kapitan. — Trzeba ruszać w dalszą drogę, tutaj mogą zjawić się inni gangsterzy.

— Nareszcie zaczniemy znowu przebierać nogami — ucieszyła się Semiramida. — No dobra, ale gdzie on polazł, ten mój terrorysta?

Hadriana nie było nigdzie widać, tylko chlebak leżał w namiocie.

— Przyjdzie, poszedł pewno na spacer — powiedział bardzo domyślnie kapitan. — Weź plecak pod dęby, ja złożę namiot.

Semiramida przeniosła swój plecak i zaczęła wyrzucać z niego rzeczy. Miała tam dość piękny bałagan. Zaczęła wszystko porządkować, rozglądając się co chwila dookoła. Hadriana nie było i nie było. Już była na niego trochę zła, poszedł sobie i nawet nic nie powiedział.

Właśnie stała z mydelniczką w ręku i zastanawiała się, gdzie ją jeszcze wetknąć, kiedy coś miękko pacnęło na ziemię. Obok plecaka leżała jakaś dziwna rzecz, jakby wiecheć włosów. Semiramida podniosła to coś i aż jęknęła.

— Ojeju, prawdziwa peruka...

Zadarła głowę, na grubym konarze dębu dość wysoko nad ziemią stał Hadrian. Obok niego czerniła się w pniu duża dziupla.

— Tu jest ich więcej — powiedział.

— Czekaj, zaczekaj, już włożę do ciebie — powiedziała prędko Semiramida i zaczęła się wspinać.

— Fiuu, całkiem fajnie — zdziwił się Hadrian, bo nie przypuszczał, że ona potrafi wejść na takie grube drzewo, zupełnie jak chłopak.

— Pokaż, no pokaż — teraz oboje wsadzili nosy do dziupli. Pod dąb biegł już wystraszony profesor.

— O Boże, dzieci, po co wyście tam... — i urwał, bo zobaczył na plecaku perukę. Zaczął ją uważnie oglądać.

Z góry posypały się dalsze peruki. Wszystkie miały dosyć krótkie i przeważnie ciemne włosy. Było ich kilkanaście. Jedna, nie wiadomo czemu, była z warkoczami.

— Wszystko dokładnie tak, jak pan opowiadał — powiedział Aramis. — Semiramida, uważaj, nad tobą jest suchy sęk, nie chwytaj się go.

Semiramida łupnęła pięścią i sęk się bardzo łatwo odłamał.

— Lepiej niech oni zejdą — powiedział profesor.

— Zaraz, zaraz, dziadziu, tu jeszcze coś jest — ciągnęła z głębi dziupli coś, co nie chciało wyleźć.

— Czekaj, ja ci pomogę — Hadrian starał się sięgnąć razem z nią, ale się nie dało: otwór był za ciasny, a to coś tkwiło dosyć głęboko.

— Stop, wstrzymać akcję — powiedział kapitan bardzo stanowczo. — Zczekajcie chwilę.

Przyniósł kawałek mocnej linki z węzłami i zręcznie zarzucił na konar obok nich.

— Uwiązać teraz do konara. Nie, za gruby. Do tej gałęzi, wyżej, z prawej strony. Dobrze, jeden węzeł, tak. Teraz schodzić. Najpierw Semiramida.

Zeszła pomału, chwytając się węzłów. Za nią, na samych rękach, wywijając nogami w powietrzu, opuścił się Hadrian. Kapitan chwycił węzeł ponad głową i hop — hop — hop, też sa-

mymi rękami, równo jak na pokazie szkoleniowym, wywindował się na konar.

Przez moment szarpał się z czymś w dziupli, aż wyciągnął. To był szary, podłużny worek z mocnego brezentu. Rozwiązał sznurek, zajrzał do środka. No tak, oczywiście. Jak się ma do czynienia z gangsterami...

— Co tam jest, wujek, no co tam jest?

Aramis stał przez chwilę na gałęzi i nic nie mówił. Potem powoli związał worek z powrotem i rzucił go na ziemię. Skoczyli do niego oboje.

— Daj, ja!

— Nie, ja, ja!

Sznurek puścił. Na trawę wysypały się zielone i brązowe papiery, były dosyć zmięte. Same tysiącfeleńki i banknoty pięciotysięczne.

Aramis był już na dole. Po prostu odwiązał linkę i skoczył z wysokości pierwszego piętra, jak na ćwiczeniach. Ale nikt tego nawet nie zauważył.

— Tak... — powiedział wreszcie profesor. — Tu jest dobre kilkaset tysięcy feleńki.

— Więcej — ocenił krótko kapitan. \ zaraz dodał: — Teraz trzeba szybko zdecydować, co z tym zrobić. To są wprawdzie pieniądze przestępców, ale moja instruk... ale mamy nikomu nie szkodzić. Nikomu, więc przestępcom też. Z całą pewnością oni by sobie nie życzyli, żeby to zabierać.

Hadrian cały czas grzebał rękami w pieniądzach, jak w opadłych liściach. Teraz podniósł się, podszedł do kapitana, zadart głowę i powiedział niegłośnie:

— Chyba ja to znalazłem.

Chwilę była cisza, a potem Semiramida potwierdziła:

— Przecież to jest prawda. Oń znalazł. A jemu nikt nie zabronił zrobić kawału gangsterom.

Patrzyli wszyscy na siebie. Zrobiło się jakoś duszno. Hadrian ukląkł i zaczął spokojnie upychać pieniądze do worka.

„Jeżeli będziemy pakować się w takie historie, źle skończymy w tej Patafii — pomyślał kapitan. — Skoro ten mały morderca opon ma ochotę to ze sobą ciągnąć, trzeba się od niego odcze-

pić, bo będą duże kłopoty. A w każdym razie trzeba zniknąć z wyspy, i to szybko".

Profesor chrząknął z zastanowieniem:

— Hm, tak. Hm, hm.

Hadrian poszedł do namiotu, ciągnąc po trawie wyorek. Zamknął za sobą wejście.

Semiramida powiedziała, jakby zgadła, co kapitan myśli:

— Ja jego tak nie zostawię. Przecież znajdą go i zabiją albo co. Trzeba mu pomóc.

— Dobrze, niech z nami odpłynie z wyspy. Zobaczymy, co dalej — zdecydował kapitan. — W każdym razie szóstoklasista na wyspie gangsterów, z ich majątkiem w rękach, to nie jest najlepsza kombinacja.

Profesor powiedział:

— No tak, no właśnie — i odetchnął z ulgą.

Kapitan poszedł powoli do namiotu. W środku Hadrian coś cicho mówił. Aramis stanął i słuchał: z kim on rozmawia?

— Zobacz — słychać było z namiotu. — No zobacz, to wszystko nasze. Wszystko. Nie damy sobie zabrać. Taka niesamowita forsa, zobacz. Więc damy tacie i już teraz będziemy mieli tatę. Zobaczysz. Będziemy mieli tatę.

Aramis szybko otworzył namiot. Terrorysta klęczał nad otwartym workiem i trzymał w rękach wytartego miśka. Odwrócił się nagle i szybko schował miśka do chlebaka.

Zerwał się na nogi i wrzasnął rozpaczliwie:

— Coo?!

— Nic, kolego — powiedział kapitan. — Tylko musimy zwinąć namiot. I odpłynąć z wyspy, bo tu nie jest bezpiecznie.

— A to...

— A to jest twoje. Jeżeli będziesz chciał, pomożemy ci wymyślić, co z tym zrobić. A jak nie, to pójdziemy każdy w inną stronę.

— Poważnie?

— Poważnie, przecież mówię.

— Pan jest w porządku. Naprawdę w porządku. A ja będę wiedział, co z tym zrobić.

I po raz pierwszy Hadrian się uśmiechnął.

Rozdział czternasty, z którego można dowiedzieć się, skąd się czasem biorą terroryści i co sobie myślą, a także, czemu rzeźba ludowa seryjnej produkcji może być lepsza od tunera Hi-Fi

Płynęli już może pięć, a może sześć godzin. Rzeka po deszczach była ogromna i mętna, wyglądała dość groźnie. Czarne chmury kłębiły się nad nimi, było zimno i ponuro, a w dodatku zdrętwieli w pontonie, bo było bardzo ciasno i nie dało się nóg rozprostować.

Nie wytrzymałoby tak długo, gdyby nie Hadrian. Zawsze milczący i ponury, teraz się niespodziewanie rozgadał.

— Bo ja nie mam mamy. To znaczy mam, ale w takim szpitalu co... no w takim, co się leczy nerwy. A w dodatku na serce też choruje. Oni mówią, że się nie da wyleczyć. Już nawet trochę nie pamiętam, jak mama wygląda.

Semiramida chwyciła go za rękaw.

— To ty też tak: masz mamę, ale jej nie masz.

— Uwaga! —krzyknął kapitan. —Schylić się!

Ledwo, ledwo przemknęli pod pnem drzewa, zwisającego nad wodą. Kapitan tak słuchał, że na moment przestał uważać i o mało, a byłby wpakował łódź na drzewo.

‡— Tata płacił i płacił doktorom, żeby ją wyleczyli. I pielęgniarkom, i tym innym. Bo w szpitalu to jest tak, że jak się chce, żeby poprawił ktoś poduszkę, trzeba płacić takiej pani, co jest od poprawiania poduszek. Bo inaczej nie chce. Takie panie mówią, że pensja jest tylko za to, że one przychodzą do pracy i siedzą tyle godzin.

— Ale o mamie mówiłeś.

— No tak. I o tacie. Że trzeba było bardzo dużo pieniędzy, więc tata brał chałtury. Takie różne zarobki. No to już trochę nie miałem taty. Przez te cholerne pieniądze. Bo go nigdy nie było w domu, ciągle jeździł na zarobki, tym naszym drapakiem.

— Jakim drapakiem?

Profesor powiedział szybko:

— Wiesz przecież, że ludzie tak nazywają te samochodziki marki „Drapant”.

— Aha, aha, no tak — zmiarkowała Semiramida. Ale Hadrian nic nie zauważył, bo mówił dalej:

— To już teraz nie będzie jeździł nigdzie. Tylko ze mną na wakacje. Bo on jest bardzo fajny, teń mój tata. To znaczy dawniej był taki fajny. Ale teraz już nie tak.

— Czemu?

— Czemu, czemu — nagle zezłościł się Hadrian. — Dawniej to nieraz chodziliśmy gdzieś razem i o wszystko mógł człowiek zapytać, i tata opowiadał różne ciekawe rzeczy, i kajak razem robiliśmy, i tego drapaka naprawialiśmy też razem. A teraz to albo go nie ma, albo jak jest, to zmęczony i zły i nie chce ze mną gadać, albo jak gada, to o niczym innym, tylko o pieniądzach. I o SWOIM.

— O SWOIM?

— No. Ja nie wiem, jakie to SWOJE. Ale on w kółko opowiada, że jak inni wychodzą na SWOJE, to on też musi na SWOJE wyjść. I teraz już nie wystarczy, że zarobi na szpital, żeby mamie było dobrze. Tylko chce wychodzić na SWOJE i być szmalowny...

— Jaki szmalowny?

— No, bogaty taki. I już nie chce mieć drapaka, bo mówi, że go nikt nie będzie szanował. Więc on musi mieć ten nowy model „Cadaver 1001 de Luxe”. Nie mówię, fest maszyna, widzieliście pewnie — w „Nowej Technice” był na okładce. Wyciąga 310 na godzinę. Szyby się draniowi same opuszczają i podnoszą, nie trzeba w ogóle kręcić korbką.

— To potem tata będzie musiał zarabiać jeszcze na własną autostradę — burknęła Semiramida.

— Czemu?

— No bo na tych... — ugryzła się w język, bo już chciała powiedzieć „waszych” — ...na tych szosach nie da się więcej niż pięćdziesiąt.

— No, pewnie — zgodził się Hadrian. — Ale Cadaver to jest Cadaver. Tylko że ja właśnie lubię tego drapaka, bo myśmy zawsze nad jeziora nim jeździli z tatą i ja go już trochę umiem prowadzić, i trochę naprawiać, i Pumpa w nim mieszkał...

— Jaki Pumpa?

— A, nic. Taki jeden — powiedział Hadrian.

Kapitan zauważył, że wikliny i drzewa nad brzegiem rzeki już się skończyły. Z jednej strony była wysoka skarpa, a z drugiej wał przeciwpowodziowy. I choć rzeka była bardzo wysoko wezbrana, nie było widać, co jest za tym wałem.

— Ty, no powiedz, jak już opowiadasz wszystko, przecież chyba to nie tajemnica? Jaki Pumpa?

— Ojeee, misiek — powiedział Hadrian i zaczerwienił się. — Jeżeli ja go lubiłem, jak byłem mały, to jak jestem dorosły, to już mam go nie lubić, tak?

— Dobra, dobra. On mieszkał w samochodzie?

— No tak. I myśmy mieli teraz we trzech pojechać w góry. Ale ktoś tacie naopowiadał, że w Burburii można fest zarobić latem w restauracjach przy zmywaniu naczyń. A jeszcze więcej przy czyszczeniu wychodków. I że jak się chce, to płacą mormulami. A znowu w Pacanii można tanio kupić za mormule tego Cadavera 1001 de Luxe, tylko trochę używanego.

— I co, i co?

— I wziął drapak, i pojechał na całe wakacje do Burburii. Jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego. A ja dwie dwójki poprawiłem i bym nie miał żadnej dwóki na świadectwie. On nawet o tym nie wie. I pojechał wychodki czyścić Burburczykom, żeby mieć te wściekle, zafajdane mormule.

Hadrian spuścił głowę i przez chwilę nic nie mówił. Potem pociągnął nosem dosyć mokro i opowiadał dalej, tylko powoli i cicho:

— Ja się darłem i awanturowałem, że nigdzie nie ma jechać, to on mi naprzynosił jakichś zabawek, jakichś gier, cały stos. I się po cichu wyniósł, jak ja spałem, i spłynął, a mnie zostawił z Pistacją.

— Jaką Pistacją?

— Z gosposią, ona się tak nazywa — wyjaśnił Hadrian. — Ojeju, przesun się troszkę, bo już całkiem nie czuję nogi. Ałała, ale ścierpła.

— Chyba niedługo gdzieś tu wylądujemy — powiedział kapitan. — O, tam widać jakiś las za zakrętem, może tam.

— Dobra, wujek, fajnie. No i co zrobisz?

— A tak: jak on wcześniej rano pojechał, uciekł, no zwyczajnie mi uciekł, i Pistażka powiedziała, że pojechał za granicę, i sobie poszła do miasta, to ja najpierw siedziałem na łóżku i patrzyłem na tę kupę plastiku. Na te wszystkie zakichane zabawki. Tak siedziałem do południa. A potem... A tam, nic.

— Co potem, no gadaj.

— Ojej, taka mnie jakaś straszna złość naszła, darłem się i tłukłem te zabawki. O rany, jak się dobrze je tłukło...

— A czym? —zainteresowała się Semiramida.

— Najpierw tunerem Hi — Fi za dwadzieścia tysięcy, ale się prędko potrzaskał. Słabe robią te tunery. A potem rzeźbą ludową z seryjnej produkcji za osiem tysięcy. To ona była dobra, uczciwy kawałek drewna, twardego jak diabeł. Tylko trochę ciężka, bo prawie tak duża, jak ja. No to się zmachałem i mi przeszło. I wziąłem Pumpę, i nóż, i pestki z dyni, i poszedłem w Patafię.

— Ty, no dobra, a ten ogrodnik, co on ci zrobił?

— Co zrobił? To samo co wszyscy. Jak poszedłem z domu, to już wiedziałem, po co żyję: po to, żeby wszystkim Cadaverom i Schurleyom rozwalać opony i szyby, i co się da. I żeby draniom, co siedzą na kupie forsy i jeszcze ludzi oszukują, żeby im tak życie obrzydzić, żeby im się wszystkiego odechciało, i tej forsy też. Ja już pięć gablot tak załatwiłem, takich najbardziej luksusowych. I tę szklarnię. I jeszcze prywaciarzowi podpaliłem magazyn z plastikowymi długopisami. One są tak robione, że mają drucik w środku, taki pierścionek wtopiony w plastik: więc jak któryś upadnie na podłogę, to zaraz się łamie. Tak specjalnie, żeby kupować następny. No to było tam chyba parę milionów tych długopisów. Ale się fajczyło...

Profesor patrzył na Hadriana i drapał się powoli po brodzie. Semiramida zmarszczyła brwi i oglądała swoją sprzączkę od plecaka.

— No co... — powiedział Hadrian trochę niepewnie.

— Ja wiem, czemu ty tak, no wiem przecież. Ale... ale to coś nie bardzo... Ja bym może też tak robiła, jakbym się wściekła, pewnie. Ale jakby mi przeszło, to... To ja bym chciała jakoś inaczej.

— Inaczej... Ciekawe, jak inaczej?

— Myślisz, że wiem? Nie wiem... Ale inaczej, nie tak. Ja nie bardzo umiem powiedzieć, czemu.

— To może ja spróbuję — powiedział profesor. — Chyba dlatego nie chciałabyś tak, że do Schurleya można wsadzić pięcioro dzieci i pojechać z nimi na piękne wakacje. Takich dzieci, co zawsze musiały siedzieć w mieście. I nie kazać ich rodzicom za to płacić. I jeszcze dlatego, że w szklarni można uprawiać pomidory nie zatrute i sprzedawać je niedrogo wszystkim, co bardzo lubią pomidory. I że w fabryczce długopisów można wyrabiać długopisy nie łamiące się. Więc szkoda psuć i tę szklarnię, i ten samochód, i fabryczkę...

— Uwaga — powiedział kapitan. — Zaraz lądujemy. Hadrian, przygotuj linkę.

Wyskoczył zręcznie z linką cumowniczą, przytrzymał z całej siły ponton znoszony prądem, wszyscy wysiedli. Plecaki i worek z pieniędzmi znalazły się na brzegu, ustawione w równym rzędku.

Profesor zrobił parę przysiadów.

— Trochę zgrzyta — powiedział ze smutkiem.

— Oj, przecież wszystkim zgrzyta w kolanach po paru godzinach w kucki, na wodzie. Pobiegaj, dziadziusiu!

Dziadzius zaczął biegać, a kapitan wyjął z plecaka lornetkę i poszedł obejrzeć okolicę.

Rozdział piętnasty, ociekający błotem zmieszany ze łzami, opowiada z trudem, jak można ratować ludzi przed katastrofą, jeśli ci ludzie nie są ciężko chorzy na chorobę patafijską

Rzeka do tej pory płynęła między pagórkami i miała wysokie brzegi. A tutaj pagórki się kończyły, wysoki brzeg oddalał się od rzeki, tworząc szeroką dolinę. W dolinie było widać niewielką wieś. Rzeka była od niej odgradzona wałem przeciwpowodziowym.

Kapitan stał na wale i patrzył na wodę w rzece. Woda była znacznie wyżej niż łąka po drugiej stronie. A na tej łące stało o wiele więcej kałuż i stawków, niż mogło być z samego deszczu.

„Nie nadzwyczajnie szczelny ten wał — pomyślał kapitan. — I w ogóle nie ma tutaj gdzie biwakować. A w wiosce lepiej się nie pokazywać”.

Ale sto metrów w górę rzeki, tam gdzie wysoki brzeg odchodził od niej i zaczynała się dolina — rósł na pagórku las. Tam można było bardzo dobrze zanoćować.

Plecaki stały na szczycie wału, dziadzius po biegach sapał, ale już nie zgrzytał, Semiramida w kaloszach i Hadrian na bosaka łazili jak bociany po łące, na wpół zalanej wodą. Aramis spojrział: tej wody było tam coraz więcej.

— O, strumyk płynie! — ucieszył się Hadrian. — Z tego wału!

— Pokaż, pokaż! O cie pępek... On się cieszy! Wujek, wujek, chodź szybko, wał puszcza!

Kapitan zbiegł w dół. W wale była nieduża wyrwa, jakby ktoś próbował wykopać piwniczkę, a z głębi ciekła brudna woda, niosąc ze sobą piasek i żwir. Widać było miejsce, z którego wypływała.

Patrzyli przez chwilę.

— Wujek> ona coraz mocniej leci!

To była prawda. Wszyscy widzieli. Coraz większy strumień wody z błotem wypływał z dziury, leciały też drobne kamienie.

Obejrzeni się za siebie. Na łące było już mało miejsc nie zalanych. A dalej były domy i mieszkali ludzie.

— Trzeba ich ostrzec i uciekać — powiedział Hadrian.

— Nie zdążysz. Wał wytrzyma jeszcze tylko kilka minut. Im więcej wody leci, tym szybciej go rozmywa. Trzeba coś zrobić, prędko. Bo zaleje wioskę. Zatkanąć czymś dziurę. Żeby choć jedcn mocny worek z piaskiem...

— Wujek, a nie masz czegoś w twojej bocznej kieszeni plecaka?

— Nie... Na tę okazję nie zabrałem niczego — Aramis popatrzył na szczyt wału, gdzie stały rzędem plecaki. Wszyscy odwrócili tam głowy — i nagle popatrzyli na Hadriana.

Przecież był worek. Mocny worek, wypchany pieniędzmi.

— Wysypię i napchamy ziemi! — krzyknął Hadrian.

— Nie ma łopaty. Za mało czasu. Popatrz»

Woda rwała już szerokim strumieniem.

— Tyle domów, tyle ludzi. I dzieci też tam są. I miśki tych dzieci — powiedziała Semiramida cicho.

Hadrian skoczył nagle pod górę, złapał swój worek z pieniędzmi, zjechał z nim w dół na siedzeniu i zaczął wciskać go w dziurę. Woda wyrzucała worek z powrotem, leciały kamienie i błoto. Aramis zobaczył niedaleko ogrodzenie z żerdzi, wyłamał jedną żerdź i z całej siły pchnął nią worek w głąb otworu. Strumień wody bardzo się zmniejszył.

— Teraz tu, po bokach jeszcze czymś umocnić — rozejrzał się, nie było niczego odpowiedniego, zerwał z siebie wiatrówkę i upchał ją obok worka. Potem żerdź wbita w ziemię podparła worek, żeby woda nie mogła go wypchnąć.

— Na razie trzyma — kapitan wytarł obłożoną twarz tak samo obłożoną ręką. — Ale trzeba koniecznie zabezpieczyć wewnętrzną stronę wału. Jeżeli ludzie zaraz tu przybiegną z łopatami i workami, jeszcze zdążą uratować. Biegasz szybko?

— Tak, już lecę.

— My będziemy tu pilnować, żeby nie przeciekało.

Hadrian popędził po zalanej wodą łące, tylko pryskało na wszystkie strony, wpadł w jakąś dziurę, pewno pod wodą był rów, wygramolił się i biegł dalej, już dobiegał do pierwszych domów.

— Wiesz co, dziadziusiu — powiedziała Semiramida — jak ja w ogóle kiedyś w życiu wyjdę za jakiś mąż, to on musi być takim terrorystą.

— Tak... — powiedział cicho kapitan — to jest drugi nie-Patafianin, którego spotkaliśmy w tej Patafii. Prawdziwy człowiek. A ma dziesięć lat.

— Już prawie dwanaście, wujku. A tej zakichanej forsy... to nie dałoby się jakoś ocalić?

— Hm... można poczekać w okolicy, aż woda całkiem opadnie i dziura już nie będzie groźna. Odkopać, umyć pieniądze, wysuszyć... Chociaż część się da uratować, to jest mocny papier, szybko się nie rozmoczy...

— To zrobmy tak, wujek, koniecznie, no przecież sam wiesz, przecież wiesz...

— Sądzę, że tak byłoby najbardziej godziwie — powiedział

profesor. —Ale niech pan popatrzy, kapitanie: znowu zaczyna się sączyć. Jest jeszcze mój sweter...

Od strony domów pędziła już gromada ludzi z łopatami, na samym przodzie biegł Hadrian. Za nimi wybiegali inni, a kobiety wyprowadzały krowy z obór i uciekały w stronę najbliższych pagórków. Na rękach niosły małe dzieci.

— Niepotrzebnie tam uciekają — powiedział kapitan — teraz chyba damy radę opanować sytuację, nic im już nie grozi.

Ludzie dopadli wyrwy, zaczęli łopatami ładować ziemię w przyniesione worki i wydzierać z ziemi kamienie.

— Ten worek w dziurze zabezpieczyć kamieniami, bo jest lekki! — krzyknął kapitan.

Dwóch mężczyzn podbiegło do worka.

— Do środka te kamienie, do środka — zawołał jeden z nich i zanim kapitan zdążył przeszkodzić, już sznurek był przecięty, a Patafianin klęczał w błocie z pełnymi garściami pieniędzy i z osłupiałą twarzą.

Drugi stanął i wytrzeszczył oczy, a potem wrzasnął:

— Szmal! Ale szmalu! Dawaj!

Patafianie cisnęli worki i łopaty i rzucili się w stronę wyrwy.

— Szybko, na wał, w prawo! — komenderował kapitan. Profesor zaczął wdrapywać się na nasyp, Semiramida ciągnęła go za rękę, ale Hadrian rzucił się w tłum przepychających się przy worku Patafian. Już pieniądze fruwały w powietrzu, już dwóch wyciągało worek, już inni ich przewrócili... Hadrian szarpał najbliższych ludzi i krzyczał, ile miał siły:

— Przerwie tamę! Zostawcie! Zaleje wam domy! Dzieci zaleje! Dzieci i miśki zaleje, zostawcie, dranie, durnie psiakrewskie, zostawcie, bo się potopicie!

Któryś szarpnięty przez niego Patafianin odwrócił się i kopnął go z całej siły. Hadrian poleciał w błoto i uderzył głową o kamień.

Woda już szorowała otworem na całego, unosząc pieniądze jak zeschnięte liście.

Kapitan skoczył w dół, porwał na ręce Hadriana i zaczął wspinać się z nim na wał. Był już pod samym szczytem, kiedy w dole coś głucho mlasnęło, zaszurgotało i z wału wysunęła się powoli

olbrzymia bryła. Jeszcze kilka kroków, jeszcze ostatni wysiłek i kapitan był już na górze. Odbiegł od wyrwy kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się. Stali teraz wszyscy i patrzyli, jak woda wyrwa dalsze zwały ziemi i leci płaskim wodospadem w dolinę. A potem osiadł ciężko sam wierzch wału i też został splukany. Ludzie biegli w wodzie, przewracali się, płynęli, niektórzy wspinali się na wał po drugiej stronie wyrwy.

— Chodźmy stąd. To się będzie jeszcze powiększać — powiedział kapitan.

Za chwilę byli już w lesie na pagórku. Aramis delikatnie położył Hadriana na mchu. Hadrian jęknął. Miał rozciętą skórę na głowie, umazany był krwią i błotem.

Pod nimi widać było ogromne jezioro. Z jeziora wystawały dachy domów i kępy drzew.

— Szmal... — powiedział cicho profesor. — No tak, szmal...

Semiramida wycierała swojego terrorystę z błota, bardzo delikatnie tą śmieszoną czapeczką, którą od niego dostała. Wycierała czapeczką, potem sięgnęła do plecaka po ręcznik, a potem jeszcze po czyste skarpetki. I cały czas łyżeczkami leciały jej po ubłoczonych policzkach i kapały w zielony mech.

Rozdział szesnasty, mówiący o kilku ważnych decyzjach, z których ostatnia wywołała dużą troskę oraz zeza

— Musimy odejść od rzeki — powiedział kapitan. — Z pewnością tajemnicze pieniądze, tajemniczy osobnicy i tajemnicze okoliczności przerwania wału zainteresują policję. A przecież nas poszukują: zgubili nasz ślad nad rzeką, a teraz natrafią na niego znów nad rzeką.

— Co pan proponuje?

— Zaraz zobaczymy. Czy mógłbym pana prosić o notatnik?

Kapitan wyciągnął z bocznej kieszeni plecaka niewielką latarkę elektryczną. Zaświecił ją i przekręcił guziczek, który zwykle służy tylko do naciskania.

Zdziwiony profesor podał mu jeden ze swoich zeszytów.

Kapitan otworzył go na czystej stronie i poświecił latarką. Na kartce pokazała się mapa.

— O, projektorek. Piękna rzecz — uśmiechnął się uczonec.
— A jeżeli weźmie go do ręki ktoś niepowołany?

— To ma zwykłą latarkę — roześmiał się Aramis i przekręcił z powrotem guziczek. Mapa zniknęła.

— Mikrofilm jest zwinięty w podwójnej ścianie, nawet przy zmianie baterii trudno go znaleźć — powiedział. — No, więc gdzie my jesteśmy... Miasto Upupa, kierunek północny, rzeka Miągwa... Jakies trzydzieści kilometrów wzdłuż rzeki na północ... O, chyba jesteśmy tutaj.

Pokręcił reflektorem, mały fragment mapy powiększył się i zajął całą kartkę.

— Proszę. Tutaj jest brzeg lasu, ostatnie pagórki, zaczyna się równina. Lasy są wielkie, to doskonale, ciągną się na zachód, znów spotykają się z rzeką, która w tamtą stronę zakręca wielkim kołem. I po drugiej stronie rzeki też są lasy. W porządku, idziemy na zachód i przekraczamy rzekę.

— Już nie mamy pontonu — powiedział profesor.

— Mamy jeszcze dwa — uśmiechnął się kapitan i pokazał dwie niewielkie paczuszki w plastikowej folii.

Hadrian spał na skraju polany, już czysty, z opatrunkiem na głowie. Trochę był blady. Semiramida nad brzegiem rzeki prała zabłocone szmatki.

— To już dziesiąty dzień. Za cztery dni mamy się spotkać w Bulbulierze z moim kolegą, który ma mnie zastąpić. Jak... jak się pan czuje, panie profesorze? Przepraszam, że pytam, ale po to przecież mnie wysłano, żebym panu pomagał i żebym ustrzegł przed... przed powrotem tej... tej choroby.

— Niech pan się nie jęka, kochany kapitanie, i nie przeprasza. Ja się tym razem czuję doskonale. Chyba się uodporniłem. Wie pan, raz tylko poczułem lekki zamęt w głowie, kiedy to nasze chłopczyśko znalazło worek pieniędzy. Ale szybko mi przeszło. A teraz, po ostatnim doświadczeniu... Wie pan, chyba już zostałem uodporniony do końca życia. Mogę pracować jeszcze długo.

Muszę na świeżo zanotować sobie obserwacje zachowania tych ludzi. Zdążyłem, stojąc na wale, błyskawicznie zrobić kilka pomiarów ich aury.

— Pięknie... Wobec tego można by nadać radioszyfrogram do Centrali, żeby nie wysyłano mojego kolegi.

— A pan?

— Moja misja miała się skończyć, ale myślę, że jeszcze się panu mogę przydać. Jeżeli mnie pan nie przepędzi, sądzę, że Centrala się zgodzi na przedłużenie mojego zadania. Ja też czuję się zupełnie dobrze.

— Pan jest naprawdę rzetelnym człowiekiem — powiedział profesor i mocno uściśnął rękę kapitana, a drugą rękę położył mu na ramieniu. — Bardzo. Teraz się panu przyznam, że tego najbardziej pragnąłem. Żeby pan został.

I potem siedzieli dłuższą chwilę naprzeciw siebie, jak dwa słupki. Bo dzieci, kiedy się wzruszą, podskakują i wrzeszczą, panie płaczą głośno i mokro, a panowie bawią się w „ciemne, nieme, nieruchome, słup kamienny, stój”.

Chociaż oczywiście czasem może być inaczej.

— Dobrze — powiedział po chwili kapitan. — Ale jak pan sobie wyobraża dalsze badania nad chorobą patafijską? Jesteśmy poszukiwani, nasze fałszywe dokumenty w każdej chwili można zdemaskować, nikt nie uwierzy, że to nie my przecinamy opony i tłuczemy szklarnie, zresztą chłopaka nie chciałbym za nic sy-pać tej ich policji. Nikt nie uwierzy, że tajemnicze obserwacje z kubła na śmieci nie miały wyrządzić szkody Patafianom. I nikt nie uwierzy, że ta forsa to też nie nasza sprawa. A jak nas raz złapią, to...

— Są dwa wyjścia — powiedział uczoney. — Albo przejść po cichu granicę i wrócić znów oficjalnie jako profesor Pstrix, którego nikt nie będzie podejrzewał o brzydkie sprawy, albo... Albo zaszyć się na jakiś czas w niedostępnym miejscu i przeczekać, a potem, kiedy przestaną nas szukać, wędrować dalej... Wolałbym drugie rozwiązanie... Bardziej ryzykowne, ale ciekawsze.

— Doskonale. Wobec tego jeszcze: gdzie przeczekać?

— Ja wiem gdzie — powiedział słabym głosem Hadrian.

Odwrócili się w jego stronę, bardzo zaskoczeni.

— Ja nie spałem — powiedział. — Słyszałem wszystko, bo ja mam dobry słuch. Ale wy jesteście tacy szpiedzy, co nie zabijają, jak ich ktoś podsłucha, nie?

Popatrzyli na siebie i nie wiedzieli, co teraz zrobić. A Hadrian mówił dalej:

— Jeżeli nie chcecie nic wiedzieć o fabrykach i wojsku, tylko o zwykłych ludziach, to ja was też nie chcę zakapować. I wam pomogę. Zaprowadzę w jedno miejsce. A potem pójdę dalej sam.

— I co będziesz robił?

— Już wiem, co będę robił. Już wiem. — Hadrian zmarszczył brwi, zacisnął usta i wyglądał teraz, jakby miał piętnaście lat, a nie prawie dwanaście. — Teraz to już nie opony i szyby. Teraz będę kradł i niszczył, kradł i niszczył — wszystko. A najbardziej ten diabelski szmal. I już teraz wszystko jedno, czy bogatym, czy niebogatym. Bo ja zobaczyłem, jacy są wszyscy. Wszyscy. A jak będę starszy i silniejszy, będę ich zabijał też. Nie będę rzucał dziecinnych petard. Bomby będę rzucał. Banki i skarbcie będę wywalał w powietrze i wszystkie kasy, aż się ludzie będą bali do nich chodzić. Aż się nauczą żyć bez tego drańskiego szmalu.

Mówił bardzo powoli, z trudem, ale spokojnie. I to było najgorsze. Bo właśnie najgorsze rzeczy może robić ktoś, kto zezłości się bardzo powoli i spokojnie.

— Muszę to robić, muszę ich zabijać — powiedział jeszcze raz. Profesor podszedł do niego, wziął go za rękę.

— Syneczku, przecież oni wszyscy są ciężko chorzy. Chorzy się leczy, a nie zabija.

— Właśnie... To niech pan leczy tych... tych... co własne domy potopili. Jak takich leczyć?

— Jeszcze nie wiemy. Teraz ich próbuję badać, żeby się dowiedzieć. Jestem takim szpiegiem — lekarzem. A zabijanie ludzi może być jeszcze straszniejszą chorobą niż wydzieranie sobie pieniędzy. Też się przy tym traci rozum. Ty nie możesz zachorować. Musisz być zdrowy, synku. Wasza Patafia potrzebuje jak najwięcej zdrowych i uczciwych ludzi.

— Ojeju... głowa mnie boli... i tak nic z tego nie wiem... — jęknął Hadrian. I znowu usnął.

Znad rzeki wracała Semiramida. Machała mokrymi szmatkami i podśpiewywała coś śmiesznego. — Co z moim terrorystą?

— Nic specjalnego — mruknął Aramis. — Zdemaskował nas jako szpiegów, obiecał, że będzie kradł i niszczył mienie Patafian, a w niedalekiej przyszłości zabijał ich samych i teraz śpi dalej.

Semiramida podbiegła i położyła rękę na czole śpiącego Hadriana. Potem okryła go kocem, zastanowiła się, co jeszcze zrobić, wyjęła z chlebaka miśka Pumpę i włożyła terroryście pod pachę.

Wstała, podrapała się po głowie i zrobiła zęza.

— Nie bardzo... — powiedziała zatroskana.

Rozdział siedemnasty, z którego widać wyraźnie, jakich kłopotów potrafią czasem narobić mszywioly, a jakie z kolei może mieć policja z kubłami na śmieci

Słońce rozchyłało gałęzie i zerkąło drobnymi światełkami w głąb lasu, a wilgotne paprocie podawały sobie te światełka z rąk do rąk, jakby mówiły: „No zobacz, wiadomo było, że i tak zaświeci”. Oczywiście tak to mogło wyglądać dla kogoś, kto ma ochotę takie rzeczy widzieć.

Bo dla kogoś innego paprocie sobie rosły i nic więcej. A słońce świeciło i nic więcej.

Semiramida nie była kimś innym. I gdyby Hadrian był całkiem zdrowy, musiałaby mu te paprocie pokazać.

A Hadrian siedział na plecach kapitana w jego plecaku. W dwóch dolnych rogach plecak został rozpruty, żeby było gdzie wystawić nogi. A koce i inne rzeczy dźwigali Semiramida z profesorem. Aramis niósł tylko Hadriana i oczywiście wszystko, co było w bocznej kieszeni.

Zatrzymali się na brzegu niewielkiej polany. Plecak z głową Hadriana stanął na Hadrianowych nogach i zaczął się rozwiązywać, oczywiście Hadrianowymi rękami.

— Ja bym już szedł sam... Ja już jestem silny... — powiedział i usiadł. Nie wyglądał jeszcze na bardzo silnego. — No słowo, że powiem, jak się gorzej poczuję. Wtedy wleżę do plecaka...

— Opowiedz o tym panu, do którego chcesz nas zaprowadzić — poprosił profesor.

— Mówiłem już: on siedzi w Górach Milczących. Był nauczycielem w mojej szkole. Starszy taki. Okropnie fajny. Ale nie można było do niego jak do człowieka, bo zaraz wszyscy: lizuś, ciapuś, liże się panu.

— Już nie jest nauczycielem?

— No, nie. Bo on jakoś tak zupełnie inaczej uczył. I jego nie bardzo lubili, kierownik i inni nauczyciele. I nie chciał nigdy forsy brać od rodziców, jak brał chłopaków do siebie do domu na douczanki.

— Skąd wiesz?

— Mówił mój tata, że jakiś dziwny, bo nie bierze. I że pewno nie chce mu się postarać. Bo inni ho, ho, ile zgarniali. A jak dwójka chciał przejść do następnej klasy, to rodzice płacili, zwyczajnie.

— Może u was zwyczajnie, ale u nas toby każdego tatę za drzwi wyrzucili, jakby przyszedł stopnie kupować — powiedziała Semiramida. — Ja mam ile dwój, a dziadziuś nie płaci.

Hadrian nic nie odpowiedział, tylko zrobił ponurą minę. I dopiero za chwilę mówił dalej:

— No więc pan Horacy już nie pracuje. Bo na niego naskarżyli do inspektora. I przyjechał ten inspektor, i zapytał, co dziś było na lekcji, jaki temat. A pan Horacy przez całą lekcję bajkę nam opowiadał.

— Bajkę? O czym?

— To była chyba okropnie mądra bajka. Ja potem parę razy chodziłem do pana Horacego, jak nikt nie widział, i jeszcze chciałem, żeby opowiedział i żeby lepiej wytłumaczył. Bo wszystko było tak, jak o Patafii.

— Ale o czym?

— O takich sześciu ludziach na bezludnej wyspie, co sobie założyli sześćoosobowe państwo. I o tym, jak najpierw żyli bez forsy, ale potem się umówili, że będą mieli takie wyspiarskie pieniądze, z koralu... To była długa historia, ale on jej nie dokończył, bo ten inspektor przyszedł i zaczął pytać, jaki jest temat lekcji.

— A jaki był?

— Yyy... „Budowa przewodu pokarmowego mszywiółów”... I myśmy nic nie umieli o tym przewodzie pokarmowym tych cholernych mszywiółów, i on zapytał, co myśmy robili na tej lekcji, i ja podniosłem palce, i zacząłem opowiadać tę bajkę, bo ona była okropnie fajna, bo tam było tak, żeby wiedzieć, jak sprawiedliwie dzielić się pracą i rządzić pieniędzmi. I on mi przerwał, ten inspektor, i wziął pana Horacego do gabinetu, bo był już dzwonek. Myśmy podsłuchiwali pod oknem. Najpierw nie wiem, co mówili, bo cicho, a potem pan Horacy powiedział głośno, że mszywiół to my w całym swoim życiu nie spotkamy, a pieniądze spotkamy. Inspektor zaczął krzyczeć, że, panie kolego, program i że uczniowie, a pan Horacy wrzasnął, że my jesteśmy najpierw ludzie, a dopiero potem uczniowie, i że ten program pewno układał jakiś mszywiół. I takie jeszcze różne, o wodzie z mózgu, a inspektor o babcinych bajeczkach i bili pięściami po stole, a potem to myśmy już uciekli. Na nas tak nigdy nie krzyczał, jak na tego inspektora.

— Ojeeju... —westchnęła Semiramida. —I co, i co?

— No co. Przyszedł kto inny uczyć. A pan Horacy siedział w domu i zaczął kaszleć, i z nikim nie chciał rozmawiać. Potem dostał rentę i wyjechał w Góry Milczące i pewno cały czas tam kaszle. A z czego się tak kaszle, proszę pana?

— Różnie... czasem z samotności. To byłby chyba już trzeci nietypowy Patafianin, panie Aramisie?

— I tylko tylu? W takim dużym kraju?

— Tak nie myślę. Chyba jest ich więcej. Ale chodzą w maskach Patafian i chcą jakoś przeżyć.

Najedli się, trzeba było iść dalej, ale nikomu się nie chciało. Aramis wyjął z plecaka radio, poruszył suwakiem i wszyscy nagle usłyszeli:

— ... Zakończyliśmy audycję dla dzieci. Tu Bulbuliera w programie pierwszym. Nadajemy komunikat Patafijskiej Służby Policijnej. Służba Policijna "poszukuje trzech groźnych dywersantów, działających na szkodę obywateli patafijskich. Osobnicy ci podstępnie tłuką szklarnie, dziurawią opony samochodowe oraz szpiegują obywateli, ukryci najczęściej w pojemnikach na śmieci.

Ostatnio widziano ich nad rzeką Miągwą, gdzie za pomocą perfidnego podstępu spowodowali zalanie całej wsi. Po spowodowaniu katastrofy osobnicy ci przeprawili się na prawy brzeg rzeki i udali się lasami w kierunku wschodnim. Ktokolwiek zauważyłby dywersantów, obowiązany jest zawiadomić natychmiast najbliższy posterunek Służby Policyjnej. Poleca się pracownikom Przedsiębiorstwa Śmietnikowego ze szczególną uwagą przeglądać kubły ze śmieciami przed opróżnieniem ich. W razie zauważenia wewnątrz czegoś podejrzanego należy kubel mocno zamknąć i dostarczyć wraz z podejrzaną zawartością na najbliższy posterunek. Dostarczycielom kubłów z podejrzaną zawartością wypłacane będą nagrody pieniężne.

— O cie pępek... — powiedziała Semiramida. Siedziała do tej pory z otwartą buzią, a teraz ją zamknęła i zrobiła okropnego młynka oczami. — Wiecie, co się będzie działo przed posterunkami? Policury nie wygrzebią się spod śmieci. A Patafianie mają nowy sposób zdobywania pieniędzy. O jacy oni hecni...

Spiker podawał jeszcze rysopis dywersantów: starszego osobnika z bródką, młodego bez bródki i małego płci męskiej w okularach, z pociągłą twarzą i włosami blond. To miała być Semiramida. O Hadrianie nie było wzmianki. Zdziwili się.

— Aha, więc te szyby u ogrodnika...

— Właśnie, to pewno dziadziś załatwił. Myśmy wynajęli pokój, jedli pomidory i wyłudziali łapówki jak porządni ludzie, a dziadziś tam tymczasem rozrabiał, korzystając z ciemności. Ładnie, ładnie.

Hadrian spuścił głowę i zaczerwienił się okropnie.

— Dobrze, ale czy ja się nie przesłyszałem... — zastanawiał się profesor. — Oni chyba mówili, że my przeprawiliśmy się na tamtą stronę rzeki i idziemy na wschód...

— Wszystko się zgadza — uśmiechnął się kapitan. — Tego pontonu wcale nie splukała powódź, był przecież wyciągnięty na brzeg. W nocy, kiedy wyście spali, przepłynąłem nim na tamtą stronę, schowałem go w krzakach tak, żeby było widać z daleka, i porobiłem trochę śladów odchodzących w kierunku wschodnim... A wróciłem przez rzekę wpław, po prostu.

— Eee, wujek... No to pokazowo ich wykiwałeś... Piątka

z plusem. Oni teraz po tamtej stronie rzeki każdą najmniejszą psiapsiółkę wyciągną z norki za ogonek i wylegitymują... A my tu mamy spokój, hi, hi, hi...

— Niepotrzebnie ludzie czas tracą, kłopotu tylko im narobiliśmy... — martwił się profesor.

— To nasza wina? Co teraz można zrobić, tylko ich kiwać i uciekać, póki się im nie znudzi. Przecież oni by nam nie uwierzyli.

— Tak, tak... w każdym razie możemy wędrować spokojnie.

I rzeczywiście,- do samego wieczora wędrowali spokojnie i bez przeszkód, cały czas na zachód.

Rozdział osiemnasty, w którym razem z fałszywą babcią możemy słuchać opowiadania na zdrowy rozum dosyć dziwnego, aczkolwiek wcale nie dziwnego dla Patafianina

Podwórze było wielkie i straszliwie zaśmiecone. Jakieś dziurawe garnki, papiery, szmaty, porzrzucone części wozu i krowie placki — okropnie to wszystko wyglądało.

— Wejdźcie do izby — powiedział chłop. — Kobieta zaraz wróci, to się czym poczęstujecie przed drogą. Ja też dopiero z roboty wróciłem, z lasu. Tyle światła na nogach. I takie nieszczęście. Wszystko wam woda zabrała, mówicie?

— Wszystko zabrała, stodołę podmyła, dom też będzie do rozbiórki — żaliła się babcia okręcona podartymi chustkami. — Tyle złego przez ludzką chciwość. Ale za dwa dni dojdziemy do zięcia, na pewno pomoże.

— I wnusia pewnie zmęczona... Chodź, dziecko, chodź, napijesz się mleka chociaż — powiedział chłop.

Babcia z wnuczką weszły do mieszkania. Wnuczka poprawiała co chwilę czarne warkocze i mrużyła oczy, jakby trochę źle widziała.

W mieszkaniu był porządek, podłoga czysto wymyta, wszystkie garnuszki na swoich miejscach.

— Jak tu macie ładnie — powiedziała babcia.

— A na podwórku... — wyrwała się wnuczka, ale zaraz umilkła i zaczęła skubać brzeg spódniczki.

— A, z podwórkiem — westchnął chłop — kłopot i wstyd. Nie mogli to podzielić na cztery części? Każdy by zadbał o swoje. Ten dom dla czterech rodzin zbudowało przedsiębiorstwo leśne, w cztery rodziny tutaj mieszkamy.

— Cztery? — zdziwiła się babcia. — To i do sprzątnia więcej ludzi...

— Jak moje, to sobie uładzę i mam na swoim porządek. A takie wspólne, ani moje, ani twoje... No powiedzcie sami, czybyście chcieli za kogoś porządkować? Żeby choć zapłacili. Mówiłem w przedsiębiorstwie, niech zapłacą, będziemy sprzątać. Podwórze nie nasze, dom nie nasz, przedsiębiorstwo chce mieć ładnie, niech płaci.

— Ale najbardziej to wam nieprzyjemnie po takim nieładnym podwórzu chodzić.

— O, to, to. Ale ich nie obchodzi nic, Nie zapłacą, powiedzieli. Tacy ludzie tam siedzą. No i kłopot, i wstyd, jak kto przyjdzie. Nie ma tej mojej coś długo — zakręcił się chłop po kuchni. — Chyba chleba ukroję wam chociaż, dobry, domowy chleb.

Postawił na stole talerz z nakrojonym chlebem, garnuszek z masłem i dwa kubki mleka.

— Jedzcie, bidule, i nie trapcie się nic, jeszcze się wam bieda na lepsze odmieni. Ludzie przecież też pomogą...

— Ee, pomogą... Babcia nie ma pieniędzy, wszystko woda zabrała...

— Oo, dziecko. Tak grzech mówić. Jak nieszczęście, to nieszczęście, musi każdy pomóc. Zaczekajcie, jeszcze wam sera przyniosę. — I wyszedł z izby.

— O cie pępek — powiedziała wnusia. — Teraz już nic z tego nie rozumiem. Jacy oni w końcu są?

— Cicho — mruknęła babcia. — I w ogóle nie mów tyle, moje dziecko, bo pozna, że ta twoja wiejska gwara patafijaska jest trochę dziwna.

Chłop już wracał z serem.

— O, nałóżcie sobie. Grubo kroić, grubo, dla nas też starczy. Co tak patrzysz po ścianach, córunia, że grzyb, wilgoć? Ano tak,

budynek nowy, ale bardzo wilgotny. W tamtej połowie sucho, bo tam dali papę z lepikiem na fundamenty, a dopiero na to ściany murowali. Nie ciągnie woda od ziemi. A tu jak budowali, to już cała papa i lepik poo-szły! —roześmiał się i machnął ręką. — I wapno poszło, mało co zostało, tynki się sypią, w pokoju pół sufitu zleciało, no bo prawie sam piasek z wodą, a wapna mało co...

— Sprzedali na lewo? —zapytała babcia ochryple i zakaszłała. Gardło już ją bolało od mówienia cienkim głosem.

— A, taki był kierownik robót, tutejszy, fajny chłop. Podprowadził i opędzłował. Zarobił sobie. Każdy musi zarobić. On też nam dał żyć, do roboty specjalnie nie gonił, dwa i pół roku myśmy ten budynek stawiali. Ile wpisał lewych dniówek, co się człowiek ani na budowie nie pokazał... I potrafi sobie radzić. We wsi teraz kamienicę buduje, dwupiętrową. Ale pieniądze uskładał sobie, jak pracował w sklepie żelaznym. Ma głowę na karku, umie wyjść na SWOJE.

Wnuczka zerknęła na babcię i zrobiła zeza. Chłop nie zauważył, opowiadał dalej:

— Ceny sobie pisał, swoje własne. Jak rura do pieca dwadzieścia felerów, to on trzydzieści pięć. Jak piła osiemdziesiąt, to on sto dziesięć.

— I nikt nie wiedział?

— Wszyscy wiedzieli. Ale jakoś trzeba żyć, nie? Ludzie potrzebują grabi, pił, rur do pieca. A on potrzebuje zarobić, chyba jasne, nie? Chłop w porządku, dla każdego życzliwy... No i dorobił się. Nie każdy tak potrafi. Nie każdy...

— Tak, tak... — pokiwała głową babcia. — Ano, widać, że tak... Tylko że z tej życzliwości macie wilgoć w mieszkaniu i tynk się sypie...

— A przecież mnie on tego nie zrobił, bo jeszcze nie było wiadomo, kto tu będzie mieszkał. Ja sam nie wiedziałem. A niedługo się wyprowadzę, już mam upatrzone lepsze mieszkanie.

— Aha, to ta wilgoć będzie dla kogo innego.

— Właśnie. Dla kogo innego — ucieszył się chłop. —A mnie krzywda nie będzie. Nie, nie dam nic powiedzieć: dwadzieścia lat znam kierownika, w porządku chłop. Dla każdego życzliwy.

Rozdział dziewiętnasty, który wprowadzie zdczyna się korzystną transakcją, ale w zakończeniu pada znowu słowo „myrło”, zapowiadające tak niemiłe przygody, że skóra cierpnie

Semiramida siedziała na pniaku z „Krótkim zarysem gramatyki patafijskiej” i uczyła się odmiany przez przypadki.

Bo w rozmowie z chłopem zrobiła dwa błędy: powiedziała „klipur” zamiast „klipura” i jeszcze „hupel” nie w tym przypadku, co trzeba. Więc z wielkim wstydem wyciągnęła gramatykę i teraz bardzo sumiennie wkuwała przypadki.

— Pierwszy łomotnik: kogo, czym? Drugi opluskwiacz: z kim, o kim? Trzeci szanownik...

— Nie szanownik, tylko smarownik: komu ile? Czytaj uważnie.

— Aha, dobrze. Czwarty niechętnik: po co, dla kogo? Piąty wołacz: o, ki O, k? Co to znaczy?

— Taki wołacz, bardzo popularny w Patafii — skrzywił się Aramis. — Nie musisz koniecznie go używać.

— W porządku, jeden przypadek mniej do wkuwania. Szósty podkadzacz: komu, jak? Siódmy kibłownik: za co, ile? Ojeej... Pierwszy łomotnik...

Profesor usiadł z boku i pisał coś w notatniku. Pisał i pisał szybko na połowie strony, a na drugiej stronie jakieś znaki, skróty, pytajniki.

— Bardzo, bardzo interesujące — mruczał do siebie. — Co za niezwykły, paradoksalny typ operacji myślowych. Jeszcze kilkadziesiąt takich rozmów i będę miał materiał do bardzo dokładnej analizy naukowej. Wydaje się być prawie pewnym, że bodźce pochodzące od takich pojęć, jak „zysk”, „zarobek”, „pieniądze” — potrafią tym ludziom całkowicie rozregulować procesy rozumnego myślenia...

— Dobrze, panie profesorze — wtrącił się kapitan — ale jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo i powodzenie pańskich prac. I raczej odradzałbym teraz przeprowadzanie takich rozmów. One zawsze są dla Patafian trochę dziwne. A my jesteśmy poszukiwani. Teraz trzeba jak najszybciej dostać się w Góry Milczące. I nie pozostawiać za sobą żadnych śladów.

— Tak, właściwie ma pan rację... Wie pan, z nauką jest tak jak z wędrówaniem: trudno przestać, trudno przerwać, jeszcze tylko człowiek chce zobaczyć, co jest za tym zakrętem drogi, a jak już zobaczy, to jeszcze tylko, co za tym łaskiem... I w badaniach to samo: każde doświadczenie albo obserwacja zamiast człowieka uspokajać, budzi ciekawość od nowa...

— Oczywiście, panie profesorze. Ale mieliśmy nie robić zamieszania w Patafii i nie udało nam się to. Policjanci też muszą kiedyś odpocząć.

— Naturalnie, naturalnie...

— Więc ruszamy. Te kiecki na razie możemy zdjąć, bo idziemy lasem jeszcze około ośmiu kilometrów.

Te kiecki znaleźli nad rzeką, zawieszono na krzakach. Fala powodziowa przyniosła je z zalanej wioski aż tutaj, przeprali je i wysuszyli. A perukę z warkoczami zabrał z wyspy profesor, jako eksponat naukowy. Bardzo się teraz przydawała.

— Potem jest szosa — mówił kapitan — i niedaleko stacja kolejowa. Babcia z wnuczką pojedą koleją aż do Podpikla i tam poczekają, a my z Hadrianem dotrzemy tam szosą. Musimy się rozdzielić, w ten sposób na pewno nikt nie zwróci na nas uwagi.

Wszyscy się z tym zgodzili. Ale okazało się, że nie mieli racji...

Na razie jeszcze wszystko było w porządku. Babcia z wnuczką już jechały pociągiem. Kapitan z Hadrianem wyszli na szosę i próbowali zatrzymać jakiś samochód. Ale żaden nie chciał ich zabrać.

Zatrzymał się tylko chłopina na motorowerze. I to nie z ich powodu, ale po prostu silnik mu przerywał, kichał, wreszcie zgaśł. Chłop zszedł z motoroweru i ze złością zaczął kopać rozrusznik. Kopał, kopał, wreszcie zaklął paskudnie i rzucił motorower do rowu.

— Nie chce chodzić? — Aramis podszedł do niego z życzliwą miną.

— A nie chce, psiakrew. Nieraz tak wysiądzie i nie ma rady na niego. A nawet jak chodzi, to więcej niż trzydzieści na godzinę nie wyciągnie. Stary już, zużyty.

— I nie da się naprawić?

— A kto naprawi? Ja się nie bardzo znam, a warsztatów do

tego nie ma. Samochodzik za parę godzin roboty może wziąć tysiąc felerów, panie, a przy tym dłużej tylko samo, a zarobek żaden. No bo jak nowy motorower kosztuje pięć tysięcy, to kto będzie płacił tysiąc za jedną naprawę? Trzeba wyrzucić albo sprzedać za byle co chłopaczyskom do rozkręcania. Ja bym to paskudztwo zaraz sprzedał, jakby kto chciał.

— A ile by pan chciał za niego?

Chłop popatrzył ze zdziwieniem.

— Co, chce pan kupić? Tego dziada?

— Mój synek też lubi rozkręcać motorowery.

— Czy ja wiem... Jeszcze by się pojeździło... Nie jest taki zły... A ile pan da?

— Tysiąc pięćset wystarczy?

Chłop popatrzył na Aramisa jak na dziwolągę.

— Poważnie pan gada? No, może być tysiąc pięćset, może. Ale do ręki, zaraz, bo...

Aramis wyciągnął portfel.

— Proszę. W porządku?

— W porządku... —Chłop obejrzał uważnie pieniądze, schował do kieszeni i szybko zaczął się żegnać. Bał się widocznie, żeby Aramis się nie rozmyślił.

— Ojej, za pięćset by sprzedał... — powiedział Hadrian.

— Kiedy widzisz, on wcale nie jest taki zły — uśmiechnął się kapitan. —To byłoby oszustwo. Jest wart te tysiąc pięćset. Zaraz nim pojedziemy.

Odkręcił coś przy gaźniku i pokazał.

— Patrz, jak zapchany śmieciami i brudem. Chyba nigdy nie czyszczony, którędy to paliwo miało dochodzić?

Przykręcił z powrotem, nacisnął rozrusznik. Silnik zaczął równiutko popyrkiwać.

— Widzisz? A my sobie do niego domontujemy jeszcze nie-duże ulepszenie. Może się przydać, choć lepiej byłoby, żeby nie.

Sięgnął do bocznej kieszeni plecaka i wyciągnął z niej... termos, taki na herbatę, tylko dosyć długi i wąski. Przykręcił termos mocno powyżej rury wydechowej, miał do tego specjalne uchwyty i śruby. I potem jeszcze wyprowadził z termosa jakiś kabelek i podłączył do fajki od świecy.

Hadrian patrzył zdziwiony.

— Co to takiego? Co jest w tym termosie?

— Być może zobaczysz — powiedział kapitan. — Ale na razie możemy sobie jechać. Wszystko jest w porządku. Siadaj na tylne siodełko.

I rzeczywiście, na razie jeszcze wszystko było w porządku.

Ale w najbliższym miasteczku poszli coś zjeść. Przed restauracją na parkingu stał szary, błyszczący Purchaw-Boss. Kapitan spojrzał uważnie: to była wersja ze zderzakiem taranującym oraz szybami pancernymi. Takich samochodów nie używali ani rzemieślnicy naprawiający po domach obieraczki do ziemniaków, ani mamusie wywożące swoje pociechy na zieloną trawkę za miasto.

Usiedli przy wolnym stoliku, kapitan niepostrzeżenie rozejrzał się dookoła i wyciągnął radyjko podsłuchujące. W kącie siedziało kilku elegancko ubranych mężczyzn, jeden z nich był tusty i łysy. Nachyleni ku sobie rozmawiali o czymś ze zmarszczonymi brwiami.

Kapitan wykręcił podsłuchiwacz w ich stronę.

— ... Nie wiemy jeszcze, czy oni współpracują z policją — mówił cicho gruby. — Cały komunikat policyjny może być dla zmylenia nas.

— Ale rysopisy podali takie, jak nasi ludzie — powiedział drugi.

— Tak, rysopisy z komunikatu są dobre, ale oni mogli się teraz ucharakteryzować. W każdym razie trzeba przekazać wszystkim ludziom dwie sprawy: wyspa jest wyłączona z działań, przenosimy bazę do X 17. Na wyspie może teraz być zasadzka.

— Tak jest, szefie.

— I druga sprawa: tych troje musimy mieć w swoich rękach jak najszybciej. Pieniądzy już nie odzyskamy, ale oni wiedzą za dużo. Nie jestem zresztą pewien, czy ich nie jest czworo. Mogą też poruszać się pojedynczo albo parami. W każdym razie aż do złapania ich wstrzymać wszystkie dostawy myrła do odbiorców. A to, które teraz wieziemy...

— Tak jest. Szefie, szefie...

— Cicho. Nie skończyłem.

— Ale szefie, ci dwaj przy wejściu... Nie wyglądają na tutejszych... Może by ich sprawdzić?

— Nie oglądaj się teraz — mruknął kapitan do Hadriana. — Uważaj, zaraz wychodzimy. — Przełączył radio na dość głośną muzyczkę, wstał i ruszył bez pośpiechu do wyjścia, a Hadrian za nim.

Dojeżdżali swoim motorowerkiem do zakrętu ulicy, kiedy przed restauracją szary Purchaw-Boss drgnął i powoli ruszył za nimi.

Rozdział dwudziesty, który wyjaśnia nam, do czego patafijskim artystom może być potrzebny walec drogowy, oraz uświadamia, co się dzieje, jeśli naukowe myślenie dostanie się pomiędzy krzywdę a zemstę

Podpikłe było ostatnią stacją kolejową tej linii, a poza tym modną miejscowością wczasową na skraju Gór Milczących. W Patafii, jeżeli ktoś nie wyjeżdżał na wakacje za granicę, to wypadało mu jechać tylko do Podpikła. W samym środku lata tłok był okropny.

W Góry Milczące też już wkraczały spychacze i walce drogowe, budujące gdzie się dało szosy i parkingi. Jednak nie wszędzie się dało, bo przeszkadzały skały, głębokie wąwozy i przepaście. Za nimi było już naprawdę samotnie i cicho. Czasem zapędzali się tam pojedynczo ludzie z plecakami, ale oni umieli tak chodzić, że nie było ich widać, słychać i żaden ślad po nich nie pozostawał.

To byli przeważnie staruszkowie, którzy kiedyś czytali powieści o Indianach.

Profesor w stroju babci i Semiramida w spódniczce dotarli do Podpikła dosyć szybko. Mieli szczęście, bo ich pociągiem jechało dużo bogatych ludzi i maszynista tylko cztery razy po drodze mówił, że chyba dalej nie pojedzie, bo się lokomotywa zaczyna psuć, a on nie ma obowiązku naprawiać. A to, co się niby zaczynało psuć, naprawiał bardzo szybko, przeliczywszy pięćdziesięciofelerówki uzbierane przez pasażerów.

Pasażerowie też byli zadowoleni, że maszynista ich nie oszukuje, tylko bierze pieniądze i zaraz jedzie dalej.

Dwóch z tych pasażerów, jak się okazało, było znanymi w Patafii artystami. Opowiadali sobie szczegóły techniczne wielkiego artystycznego przedsięwzięcia. Profesor słuchał bardzo uważnie, żeby potem zanotować — bo wiadomo, że wiejskie babcie na ogół nie podróżują z notatnikami.

Chodziło o plantację róż, którą doprowadzało się do pełnego kwitnienia, wycinało się najslabsze kwiaty, a pozostawiało najpiękniejsze. Potem na plantację artysta wjeżdżał walcem drogowym, który prasował wszystko na gładko, wciskając róże w ziemię, a następnie inny artysta szybko rozpylał na powierzchni żywicę chemoutwardzalną, która wsiąka na centymetr i zastyga w twardą skorupę. Trzeci artysta wkraczał z ręczną piłą tarczową i ciął całą powierzchnię na prostokąty, a czwarty zdejmował te prostokąty, otrzepywał spodnią stronę z ziemi, obcinał korzenie i oprował tak powstałe obrazy w ramki. W ten sposób z hektara w ciągu jednego dnia można było wyprodukować dziesiątki tysięcy obrazów przedstawiających kwitnące róże. Dawało to w hurcie ogromne zyski. A każdy z obrazów był pracą oryginalną, bo przecież nie było dwóch zupełnie jednakowych.

Semiramida słuchała tego z rozdziawioną buzią, a artyści omówili róże i zaczęli rozważać możliwość walcowania nasturcji i lwich pyszczków.

Po drodze minęli jeszcze kilka pociągów stojących w szarym polu, przez okna widać było pasażerów grających w szachy i czytających gazety z zadowolonymi minami. Ktoś wyjaśnił, że to są zwyczajne pociągi, którymi jadą ludzie na delegacje służbowe.

I tak szczęśliwie, z opóźnieniem tylko czterogodzinnym, pociąg pospieszny wtoczył się na perony Podpikla.

Profesor z Semiramidą szli teraz główną ulicą, potrącani przez bardzo bogato i bardzo dziwacznie ubranych Patafian. Wreszcie musieli zejść z chodnika, bo ludzie szli na nich, jakby ich nie było, i nikt nie zrobił żadnego ruchu, żeby ich wyminąć. A na jezdni o mało co nie potrącił ich czerwony Simentaler ze stołeczną rejestracją.

— Dziadziusiu, nie bardzo. Chyba trzeba wyskoczyć z tych łąchów, co? Tak to nie jesteśmy ani wczasowicze, ani tubylcy.

Tubylcy chodzili w miejscowych strojach regionalnych z plastiku, sprowadzanych z Pacanii, i za opłatą pozwalali się w nich fotografować na tle gór. W niewielkich sklepikach z takimi strojami można było też kupić krzaczaste brwi z gumolepem pod spodem. Tubylcy z krzaczastymi brwiami mieli największe powodzenie u fotografujących wczasowiczów.

Semiramida chciała koniecznie kupić strój tubylczy i krzaczaste brwi, ale profesor się nie zgodził: trzeba było kupić dwa plecaki, bo plecak Semiramidy i torba podróżna zostały w lesie nad rzeką, a ich zawartość dźwigał profesor w płóciennym węzłku na plecach.

Kupili te plecaki, przebrali się w swoje zwykłe turystyczne ubrania, Semiramida tylko zostawiła sobie perukę z warkoczami — i już ich nikt nie potrącał na chodniku.

— Od razu lepiej — powiedział profesor. — Już mnie gardło boli od udawania babcinego głosu.

— No, mi też lepiej — Semiramida poprawiła okulary na nosie. — Zaraz inaczej widzę. I ta zakichana kiecka nie płacze się człowiekowi po nogach.

Ulicą jechał powoli mikrobus z czterema potężnymi głośnikami. Wjechał w boczną uliczkę, zatrzymał się i zaczął ryczeć jakąś obłąkaną muzykę, aż powietrze dudniło. Wnet ustawiła się koło niego kolejka, z sąsiednich pensjonatów i restauracji wybiegali ludzie i dołączali do niej, wszystko szło bardzo sprawnie, felery leciały szybko do wyciągniętej przez okno ręki. Ryk głośników ucichł, samochód odjechał, wsunął się znowu w boczną uliczkę dwieście metrów dalej i z powrotem zaczął ryczeć.

— Ojej, co oni robią?

— Zarabiają. Jeszcze jeden patafijski zarobek. Ci, którym się ten ryk nie podoba, płacą za nieryczenie.

— Ojej, a czemu nie wyciągną facetów z tego samochodu i nie przegonią? Czemu zamiast wygonić za dokuczanie, płacą za niedokuczanie?

— Przecież widziałaś już nieraz, moje dziecko, że ci ludzie wymyślają najbardziej dziwaczne rzeczy, żeby sobie móc wciąż

za coś płacić i pobierać opłaty. Ludzie zdrowi myślą tak: „Ułatwiamy sobie wzajemnie nasze życie codzienne, wszystkim wtedy będzie lepiej”. A Patafianie: „Utrudniamy sobie i obrzydajmy życie, wszyscy wtedy będą mieli więcej okazji do zgarniania pieniędzy”.

Semiramida zamyśliła się.

— A, dziadziusiu... A on, ten mój terrorysta... On naprawdę może tak okropnie zachorować, żeby aż zabijać Patafian?

— To wcale nie jest niemożliwe. Bo to jest tak, widzisz: jeżeli ktoś bardzo mocno czuje swoją krzywdę albo widzi i przeżywa krzywdę czyjąś, zwykle szuka winowajców, zamiast szukać przyczyn. Tak jest łatwiej, jeżeli ktoś nie potrafi myśleć naukowo.

— Jak mówisz, dziadziu? Przyczyn?

— Tak. Na przykład: pożyczałeś chłopakowi rower. Jeździ, jeździ — nagle przebił dętkę.

— Kapeć.

— Kapeć. Postawił koło domu i w nogi. Nieładnie, co?

— No pewnie. Bym mu dosunęła.

— I nienaukowo. Pierwszy naukowy wniosek: tam, gdzie jeździł, musiał być gwóźdź albo drut, przyczyna pierwsza. Wskazówka do działania: trzeba znaleźć i unieszkodliwić. Drugi naukowy wniosek: uciekł, bo się boi, że mu wlejesz, i bardzo słusznie się boi. Przyczyna druga. Wskazówka do działania: trzeba przekonać go, że nie masz ochoty głupio się mścić, i trzeba poprosić o pomoc przy zaklejeniu gumy.

No widzisz: a ty się chcesz odegrać pięściami. Do jednej przykrości dodasz drugą, rower będzie dalej dziurawy, a na tym gwoździu znowu ktoś sobie może przebić dętkę, jeszcze jedna przykrość.

— Aha...

— Hadrian jest taki sam, jak ty. Jak nauczycie się myśleć naukowo, nie będziecie mogli robić nic głupiego ani złego, rozum nie pozwoli. On też nie będzie niszczyć ani zabijać, nie bój się.

— Hy... a jaki on może zrobić wniosek naukowy o tych Patafianach?...

— Oczywiście, to o wiele trudniej niż wywnioskować, czemu rower stoi koło domu przebity. Ale jeśli jest wielu ludzi myślących naukowo i mają dość czasu... Wszystkiemu wtedy można zaradzić. Prawie wszystkiemu. Chociaż nie od razu.

— Dziadziu... Jak się umie myśleć naukowo, to łatwiej lubić ludzi, nie?

— O, właśnie. I na odwrót też: jak się lubi ludzi, łatwiej o nich myśleć naukowo.

— Bo ta złość nie przeszkadza.

— Bo ta złość nie przeszkadza.

I obydwójce równocześnie podrapali się po nosie. Zawsze tak było, kiedy im się udało doprowadzić ciekawą rozmowę do wspólnego zakończenia.

Rozdział dwudziesty pierwszy, dziejący się z szybkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, z którego wynika, że dobre przygotowanie, zimna krew i błyskawiczne decyzje mogą być prawie tak samo potrzebne, jak umiejętność naukowego myślenia.

Hadrian chwycił kapitana za ramię i krzyknął do ucha:

— Nie tędy, do Gór Milczących to na południe trzeba! Tam się jedzie do Bulbuliery!

— W porządku, wiem. Teraz mamy do załatwienia inną sprawę — burknął kapitan. — Patrz, czy jadą za nami.

Wyjechali z miasta na główną szosę, prowadzącą do stolicy. Wyjątkowo była dość równa, szeroka i dobrze utrzymana. Silnik pracował całkiem nieźle, na liczniku było prawie 40 na godzinę.

Ujechali już kilka kilometrów i wydawało się, że nikt ich nie ściga. Dopiero kiedy szosa wspięła się na pagórek, Hadrian zobaczył daleko z tyłu szary punkcik, który się szybko do nich zbliżał. Widocznie gangsterzy w mieście początkowo stracili ślad w wąskich uliczkach i dopiero teraz trafili na właściwą drogę.

Szara plamka była coraz większa. Teraz już wyraźnie można było poznać ten samochód.

— To oni, na pewno! Prędeż, bo dogonią! Nie da się prędeż?

— Da się — powiedział spokojnie kapitan i sięgnął do kabełka od termosu. — Trzymaj się mnie, ale mocno.

Nagle coś zahuczało pod nogą Hadriana, bardzo głośno, jak syrena. O mało nie spadł z siodełka, tak się wystraszył. Buczenie było coraz wyższe, aż przeszło w cienie wycie, prawie w gwizd. Motorower skoczył do przodu, jakby na potężnej sprężynie, wskazówka na liczniku stuknęła w sześćdziesiątkę, która była na końcu skali, i opadła luźno do zera: licznik się popsuł.

Hadrianowi pęd powietrza zatykał oddech, oczy łzawiły, drzewa po bokach szosy zamieniły się w migocące pasy. Motorower leciał z gwizdem środkiem szosy i wylatywał w powietrze na niewielkich nierównościach. Kiedy na jednym mostku wyskoczyli w górę, przelecieli z pięćdziesiąt metrów w powietrze.

„Żeby tylko koła wytrzymały” — pomyślał kapitan i wyprzedził płynnym ruchem sportowego Geparda jadącego przed nimi. Gepard jechał co najmniej sto dwadzieścia. Dodał gazu, zaczął ich gonić, ale zaraz został daleko w tyle.

Aramis zerknął kątem oka na zegarek: pędzili tak prawie dziesięć minut. Dwie trzecie ładunku silniczka odrzutowego było już wypalone.

Zbliżali się błyskawicznie do niewielkiego miasteczka. Kapitan sięgnął do silniczka i szybkim ruchem zamknął dyszę wylotową. Wycie nagle ucichło, tylko pęd gwizdał w uszach i szarpał ubraniami. Przelecieli jeszcze rozpędem około kilometra i kapitan zaczął hamować. Wpadli w główną ulicę miasta. Przed jednym z dużych budynków widać było z daleka ogromny skład pojemników na śmieci i dwa fioletowe samochody policyjne. W śmieciach grzebało sennie kilku ludzi w mundurach.

— Trzymaj motorower — powiedział Aramis i podbiegł do policjantów.

— Popielaty Purchaw-Boss. Wiezie myrło. Jedzie szef gangu. Za parę minut tu będą.

Policjanci rozdzielili gęby, jeden przytomniejszy podbiegł do samochodu i włączył syrenę. Z budynku wybiegali inni, ktoś zaczął wydawać rozkazy.

— Nieźle — mruknął z uznaniem Aramis, wyminął zręcznie

jednego z policjantów, który się do niego zbliżał, i wskoczył na motorower. Hadrian już trzymał silnik na obrotach, ten zwykły silnik. Zapalił go, kiedy kapitan biegł do policjantów.

— Nieźle — powiedział po raz drugi Aramis i ruszyli pełnym gazem z powrotem. Wyjechali za miasto.

— Uwaga, zapalam!

Skoczyli do przodu jak przedtem. Wyjeżdżający za nimi z miasta policjanci nie zobaczyli już przed sobą nikogo.

— Jedenaście... Dwanaście minut... Policja około trzech kilometrów z tyłu... Purchaw niedługo tu będzie, chyba też koło trzech...

— Uwaga, hamowanie! — krzyknął.

Silnik ucichł, zakwiczały hamulce, zarzuciło ich na szosie od rowu do rowu. Wyhamowali niedaleko starego wiatraka, który stał na górcie pod lasem sto metrów od drogi. Podjechali do niego ścieżką akurat w chwili, kiedy popielaty Purchaw wyskoczył zza zakrętu.

— A nasze kochane policjacje też już są — mruknął kapitan, wprowadzając spokojnie motorower do środka wiatraka przez dziurawą ścianę.

Szosa pędziła z jękiem syren dwa wozy policyjne, jakiś kilometr za nimi następne dwa. Zatrzymały się, blokując szosę, popielaty Purchaw zahamował gwałtownie, obróciło go dwa razy dookoła i ustawiło w poprzek.

Hadrian patrzył przez szparę w desce, jak tłum policjantów otacza gangsterski samochód, patrzył i trząsał się, jakby był zrobiony z samych sprężynek.

— Mi zimno — szepnął, bo bardzo nie chciał, żeby kapitan pomyślał, że to ze strachu.

— Zaraz przejdzie, ja też zmarzłem — powiedział Aramis. Jemu też lornetka nie chciała leżeć nieruchomo w rękach. Odłożył ją, siadł na belce, wyjął scyzoryk i zapalki i zaczął pracować, powoli strugać jedną po drugiej.

— Melduj, co się tam dzieje.

— Wyprowadzają ich. Ucieka jeden, oj, do nas ucieka, go nią, ojej, już go mają. Wracają na szosę. O rany, myślałem, że tutaj przylecą.

Kapitan usiadł z powrotem na belce.

— O, jeden strzelił! Nie trafił. Chyba zabrali mu pukawkę, nie widzę dobrze, bo zasłaniają. Łysy już w radiowozie. Tamtych pakują do drugiego. Zatrzymali się. O coś pytają, krzyczą, pokazują ręką w tamtą stronę szosy. A gangsterzy w tę stronę szosy pokazują.

— To o nas, nie mogą się dogadać...

— No, chyba. Policury grzebią w Purchawie. Szukają tego myrła pewno. Wywalili kanapy z wozu. Jeden coś krzyczy. Wpakowali z powrotem. Powsiadali wszyscy. Zawracają do miasta, trzy radiowozy i Purchaw z policjantem. Jeden radiowóz w przeciwną stronę. No, pojechali...

— W porządku — mruknął Aramis. — To była jedyna możliwa kombinacja. I pięknie nam wyszła. Zapomnieli o naszym wiatraku, trąby...

— Ojej, no właśnie, dlaczego myśmy lecieli z powrotem, zamiast uciekać dalej?

— Bo ładunek naszego termosiku już się kończył, nie zdążyłbym założyć drugiego. I pomyśl: wystarczyło posłać za nami jeden wóz, żeby nas zgarnąć, wystarczyło radiem zawiadomić następny posterunek, żeby nam wyjechali na spotkanie. Nie wiadomo, czy tam byłoby gdzie się ukryć, a tutaj po drodze zauważyłem ten wiatrak i niedaleko za nim las.

— No, rzeczywiście...

— A poza tym, pomyśl: gdybyśmy tam wiali, wszystko byłoby dla nich jasne, wiedzieliby, gdzie szukać. A tu — zgłupieli jedni i drudzy, a gangsterom nikt nie wierzy, więc będą teraz latać po tej szosie, obstawiać miasteczka, skrzyżowania, mosty, aż do samej Bulbuliery...

— Ale fest... — popatrzył z podziwem Hadrian i zadzwonił zębami. — No, a co my dalej zrobimy?

— A my mamy za lasem rzekę, jak wynika z mapy. A w plecaku ponton, którym od biedy można przewieźć motorower przez wodę... Tej możliwości nie wezmą pod uwagę i dlatego spokojnie sobie dojedziemy do szosy na Podpikle. A tymczasem podaj plecak. Zjemy coś, głodny jestem.

Rozdział dwudziesty drugi, nareszcie pełen ciszy, spokoju i pięknych widoków, w którym poznajemy pana Horacego, a pan Horacy mruga oczami, kaszle i jest bardzo zdziwiony

Szli teraz wszyscy czworo stromą ścieżką przez las, pachniało igliwem, grzybami i bezludnością. I było cicho, bardzo cicho. Bo szeptanie wiatru w gałązkach wysoko nad nimi i poćwierkiwanie ptaków to nie był przecież hałas. I teraz dopiero można było zauważyć, że jest coś takiego jak wiatr i jak ptaki.

— Ojeju, ale fajnie — powiedziała Semiramida. Była znów podobna do chłopca, w swoich dzinsach i w płóciennej czapeczce Hadriana. — Ale fajnie, dziadziu, czasem chciałabym z lasu wcale nie wyłazić do tych wrzeszczących i dusznych mrowisk.

— W pracowniach naukowych hoduje się szczury do różnych doświadczeń — powiedział profesor. — Jeżeli się dużo szczurów wsadzi do ciasnej klatki, tak że mają mało miejsca i wciąż muszą się dotykać i potrącać, to zachowują się coraz bardziej nienormalnie, aż wreszcie zaczynają się zagryzać.

- Ojej...

— No tak. A jeżeli im do klatki wstawić głośnik, który hałasuje cały czas, to przestają jeść, biegają jak obłąkane i w końcu giną. Ale one nie są winne temu, że głupieją, że depczą po sobie, że się zagryzają. Wolałyby przecież żyć normalnie.

— A te ludzkie klatki i głośniki...

— Te ludzkie? Widzisz, dziecko: co ludzie zrobią dla ludzi, to ludzie potem mają. Ale nauka też ma coś do powiedzenia: już teraz buduje się o wiele zdrowsze miasta niż sto lat temu. Bo budowniczowie musieli posłuchać uczonych.

Ścieżka wyszła na przełęcz, las się skończył. Pod nimi była głęboka dolina z potokiem na dnie, potok wypływał z niewielkiego stawku leżącego w górnej części.

Aramis wyciągnął latarkę z mapą i wyświetlił na kartce papieru powiększenie Gór Samotnych.

— To chyba ta Dolina Zapomniana. O, jest nawet stawek.

— Pan Horacy mówił, że zawsze latem siedzi w Dolinie Zapomnianej w takim starym szałasie, co mu chłop sprzedał. Więc

jeżeli wyjechał w Góry Milczące, to tylko tutaj. Ale jak on tu może żyć zimą?

Zaczęli schodzić ścieżką w dół, stawek w górze doliny błyszczał w zachodzącym słońcu.

— Wujek, wujek, pokaż lornetkę! — zawołała Semiramida.

Aramis przysłonił ręką oczy i uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, masz rację. To jest chyba dy n. Zaraz zobaczymy.

W lornetce widać było wyraźnie: dym, kawałek stromego dachu i płotek z żerdzi. Reszta zasłonięta była wierzchołkami drzew. Koło płotku poruszała się jakaś postać.

Hadrian odłożył lornetkę.

— To jest pan Horacy — oświadczył z całą pewnością, chociaż z tej odległości widać było tylko podłużną, jasną plamkę.

— Idziemy. Niedługo będzie ciemno.

— Ojej, wujku, przecież to niedaleko...

— To tylko się tak zdaje — uśmiechnął się profesor. — Patrząc z góry myślisz, że za pół godziny tam będziesz. A to dużo, dużo jeszcze dreptania...

— Koło dwóch godzin — powiedział kapitan.

— Jak nie więcej, panie Aramisie.

I rzeczywiście. Była już późna noc, kiedy zaczęli się zastanawiać, czy nie przenocować gdzieś nad potokiem.

— Nad potokiem nie, bo większy chłód. Raczej podejść kawałek w górę.

— Tam nie będzie równego miejsca na postawienie naszego namiotu.

Hadrian i Semiramida usiedli na kamieniu i nic nie mówili. Przestali się nawet kłócić.

— Poszukam miejsca pod namiot — powiedział Aramis. — Zaczekajcie chwilę.

Nie było go dosyć długo, aż profesor zaczął się niepokoić. Ale wreszcie się zjawił.

— Jest szalas, a w środku ktoś siedzi przy świeczce i kaszle.

— Pan Horacy! — wrzasnął Hadrian, zerwał się z kamienia i pobiegł pod górę, potykając się w ciemnościach.

Ruszyli szybko za nim. Kiedy weszli do cieplej, pachnącej

dymem izby, zobaczyli, jak Hadrian ściska z całej siły chudego pana, a ten pan kaszle i ma dziwnie błyszczące oczy.

— Myśmy się zmęczyli okropnie, proszę pana, no bo myśmy musieli uciekać, bo ja jestem teraz terrorysta, proszę pana, a znowu oni są szpiegi zagraniczne, a mój tata pojechał sobie do Burburii i mnie zostawił, więc ja do pana przyszedłem, ale my jesteśmy wszyscy dywersanci i nas policja szuka we wszystkich śmietnikach w całej Patafii, i my jesteśmy zmęczeni, i czy pan ma coś do picia, ale tę wieś to nie myśmy zatopili, wcale, proszę pana, i niech pan się nie boi, bo oni są tacy fajni, jak pan, a kapitan to gangsterów do kicia pilotował z szybkością dwieście pięćdziesiąt na godzinę, i myśmy się zmęczyli, no wie pan?

— Trochę jeszcze nie wiem... — uśmiechnął się niepewnie pan Horacy, zamrugał oczami i zakaszłał. — Ale wejdźcie, panowie, nie stójcie w progu, zaraz się, jakoś postaramy... Mam dużo siana na stryszku.

— Wujek... — powiedziała powoli Semiramida. — Weź tego mojego terrorystę, połóż gdzieś na ławce albo co...

Bo Hadrian leżał na podłodze obok stołu i już spał.

Rozdział dwudziesty trzeci, w którym odbywa się wielkie ochrzanianie pełnoletnich przez małoletnich, a pełnoletni spuszczaają głowy i jest im nie bardzo

Było równocześnie ciepło i chłodno. Albo inaczej: tak ciepło, że lekko i swobodnie, ale nie duszno. Tak może być tylko w górach.

I było jeszcze jakoś tak...

— Ja nie wiem, jak to powiedzieć — Semiramida podrapała się za uchem. — Tak jakoś dziwnie czysto tutaj jest. No tak, że można wszędzie się położyć, wszystkiego dotknąć, wszystko polizać i się nie brzydzić, i nie bać się, że brudne.

Hadrian patrzył przez lornetkę na stromy stok po drugiej stronie doliny.

— Zobacz, miśki — podał Semiramidzie lornetkę.

Rzeczywiście: między pniami zwalonych drzew gramoliły się

śmiesznie dwa małe jak pieski niedźwiedzie, a trzeci duży łąził z nosem przy ziemi, jakby czegoś szukał.

— Pumpa ma tutaj kolegów.

— Czemu on jest Pumpa?

— Tata wymyślił, żeby się nazywał Pumpernikiel. Ja nie bardzo chciałem, ale tata się uparł. A ja byłem mały, nie umiałem tego powiedzieć do końca i mówiłem Pumpa. I tak już zostało.

Znowu nic nie mówili, tylko patrzyli wszyscy w dolinę.

— Tutaj chyba łatwiej myśleć... — powiedział profesor do pana Horacego.

— Łatwiej... I trudniej.

Profesor popatrzył uważnie, ale nic nie powiedział, tylko samymi oczami zapytał: „czemu trudniej?”

— Ludzi brakuje — powiedział nauczyciel.

— Uciekł pan od nich, miał pan dość.

— Tak. Ale brakuje. Gdyby było do kogo i po co, wolałbym wrócić.

Hadrian odłożył lornetkę. Bardzo wierzył panu Horacemu, więc wszystko, co on mówił, było ważne.

— Proszę pana... dlaczego tak, bo ja nie rozumiem: łatwiej myśleć, bo nie ma ludzi, ale trudniej myśleć, bo nie ma ludzi?

— Hm... Łatwiej, bo sobie spokojnie każdą myśl możesz obejrzeć, znaleźć drugą, podobną myśl, dopasować: tak — nie, jeszcze nie tak, tak najlepiej, potem szukać takiej myśli, co o czymś innym, ale podobnie zbudowana... Tak powoli możesz sobie z małych i nie bardzo ważnych budować myśli większe i ważniejsze, które pomagają rozumieć świat. I nie przeszkadza w tym ani zegarek, ani kalendarz, ani żaden głośnik czy silnik, ani ludzie. Bo to przez nich wciąż wypuszczasz z rąk swoje myśli i potem znów musisz szukać, zbierać, sprawdzać: ta potrzebna, ta mniej, a tamta gdzieś się podziała — i od nowa dopasowywać. A czasem cię ktoś potrąci — i znów nic z tego. Dlatego łatwiej bez ludzi.

— A trudniej?

— A trudniej, bo każdy człowiek o tym samym swoje własne myśli składa. Co innego przeżył, co innego widział albo wyczy-

tał, więc jego składanka już trochę inna. Przychodzi z taką składanką jeden człowiek do drugiego i pokazuje: „Zobacz, coś takiego mi wyszło”. A ten drugi mówi: „O, bardzo ciekawie wyszło, a ja myślałem o tym samym i wyszło trochę inaczej. Chyba w twojej myśli czegoś brakuje, o, w tym miejscu. A znowu w mojej nie było tego ważnego szczegółu — to ja sobie odpatrzę od ciebie i dopasuję”, a tak się zamieniają tymi małymi kawałeczkami, które mogą pasować do większej myśli, i razem poprawiają. I przez to i jeden, i drugi robi się mądrzejszy, coraz lepiej potrafi wyszukiwać w świecie to, co ważne, i składać z tego coś ciekawego.

Dlatego trudniej, kiedy nie ma komu pokazać i nie ma z kim naradzić się, jak by tu jeszcze lepiej myśleć. Wymyśli człowiek coś, co mu się wydaje dobre, chociaż może jeszcze nie całkiem — i nie wiadomo po co, bo zostaje z tym sam. Nie ma komu pokazać, nie ma z kim się podzielić. Nikt nie chce, nikt nie potrzebuje.

i- Więc on idzie w Góry Milczące i kaszle... — powiedziała cichutko Semiramida.

P^n Horacy spiścił głowę i nic nie odpowiedział.

—f Potrzebują — mruknął Hadrian grubym głosem, bo mu się jakoś dziwnie zrosiło w gardle i w oczach.

— Hm... Ja też tak sądziłem, że dzieci mogą potrzebować mojego myślenia... Ale dzieci potrzebują bardziej komiksów; stój, bo strzelam, ręce do góry; kto kogo załatwił i kto komu dosunął; potrzebują hałasu, strzałów, wybuchów, potrzebują rozbiających się samochodów i walizek pełnych pieniędzy... Myślenia nie potrzebują ani dobroci...

— Mowa — powiedziała niegrzecznie Semiramida. — Jak ja mam na pierwszym programie film przyrodniczy o delfinach, na drugim reklamę rajstop firmy Waterloo, a na trzecim ktoś kogoś leje i samochody się przewracają, to jak mogę spokojnie oglądać delfiny? Ogląda się do końca, jak się leją! A kto nas tym częstuje, co? A ja potem zawsze jestem wściekła, bo to mordolejstwo było takie samo jak zawsze, a delfiny już dawno chciałam obejrzeć.

— Ona dobrze mówi, bo ja tak samo — powiedział Hadrian. — A jeszcze, jak nie ma z kim porozmawiać, bo oni tylko są zajęci forszą i też nie myślą o czym innym, w ogóle.

— Albo nas zostawiają w domu z jakimiś oczopląsami, jak się dzieje coś bardzo ważnego. Bo już my to mamy być tacy głupi, żeby nic ważnego nigdy nie robić. I co, dziadziu, i powiesz, że ci przeszkadzam w podróży i że jestem za mała i za głupia, i że nic nie rozumiem?

— Hm, hm... — profesor drapał się po brodzie i chrząkał.

— Albo dla nas piszą książeczki ciągle w kółko o tym samym, co my dobrze wiemy: że pani w szkole, że szkolny klub sportowy, że trzeba pomagać mamie w domu albo nosić zupkę chorej babci, że córeczka listonosza jedzie do cici na wieś na wakacje, a Feluś ma pieska Burka z łatką na uchu. A co się naprawdę ważnego dzieje na świecie, co wy sami wyprawiacie, to my nic nie mamy wiedzieć i nie rozumieć, tak? Dlaczego na przykład ja nie mogę mieć mamy i taty, dlaczego worek papierków jest ważniejszy niż ludzie i domy, i ogrody, dlaczego wciąż się okłamujecie, dlaczego robicie zabawki, które się zaraz łamią, dlaczego Burburia napada po chamsku na Bikaverię i wszyscy się dalej do niej bardzo grzecznie uśmiechają? W książkach dla nas tego nie ma. Tylko jest piesek Burek i parii w szkole. A potem się opowiada tak: „A, bo oni już tacy są, chcą tylko hałasować i krzyczeć...”

Zaczęła nagle beczeć.

— Ja to najwięcej mam ochotę hałasować i krzyczeć, jak wiem, że nikomu na mnie nie zależy. Tobym się tak darła i darła, i darła, żeby właśnie nie słyszeć, co sobie w środku myślę... I żebyście wszyscy wiedzieli, że przecież jestem na tym świecie.

Spuściła głowę i mówiła powoli:

— A ty sobie poszedłeś sam do tej Patafii, dobrze, że cię jeszcze dogoniłam...

I już nic więcej nie mogła powiedzieć, bo tak beczała, aż się trzęsła.

Profesor chciał ją pogłaskać po głowie, ale odepchnęła jego rękę. Zachrząkał bardzo zdziwiony, zdjął okulary i wytarł je chusteczką.

Pan Horacy dłuhał patykiem w spróchniałym pniaku.

— No tak. Widać, że sporo brakowało w tej mojej składance, którą sobie tutaj zmajstrowałem przez tyle miesięcy — powiedział cicho.

A potem jeszcze dodał:

— Dobrze, żeście przyszli.

I siedzieli, i nie mówili nic. Tyle było powiedziane ważnych rzeczy, że każdy po swojemu musiał sobie wszystko poukładać w głowie.

A po drugiej stronie doliny trzy misie weszły do lasu i już ich nie było widać.

Najdłuższy ze wszystkich rozdział dwudziesty czwarty, w którym pan Horacy opowiada bajkę o paskudzie zwanym Alienacją, a bajka niepostrzeżenie wplata się w rzeczywistość i wcale nie chce się skończyć

Mieszkali już u pana Horacego dosyć długo i mieli prawdziwe wakacje. Hadrian i Semiramida zbierali jagody, próbowali rękami łowić pstrągi, budowali tamę na potoku i szukali jaskiń w lesie, w którym rosły drzewa, kamienie i skały. Często chodzili wszyscy razem wysoko, na przełęcz albo na najbliższe szczyty, pan Horacy doskonale znał okolicę i zawsze potrafił zaprowadzić ich w jakieś bardzo piękne miejsca.

Nikt ich nie szukał. Komunikaty radiowe o dywersantach umilkły. Pan Horacy nadał z Podpikła telegram do sąsiadów Hadiana, że Hadrian spędza u niego wakacje w górach i że wróci przed rozpoczęciem roku szkolnego.

A wieczorami siedzieli sobie po ciemku, tylko ogień w piecu migotał. Profesor opowiadał o swoich podróżach albo kapitan o swoich przygodach wywiadowcy — oczywiście o tych, które nie musiały być tajemnicą — albo wszyscy śpiewali piosenki, a kapitan grał na okarynie. Miał ją również w bocznej kieszeni plecaka i okazało się, że jest nie mniej potrzebna niż kilogramowy ponton czy gaz Schmyr-Gay.

Pan Horacy przestał kaszleć i profesor zaczął robić notatki do swojej książki, którą już dawno chciał napisać, tylko zawsze mu coś w tym przeszkadzało. Tytuł był taki: „Aura życzliwości oraz aura nieżyczliwości —a przewlekłe stany chorobowe”. Już w dawnych notatkach profesora było wiele dowodów na to, że

kiedy człowiek czuje się samotny i bezradny między innymi ludźmi, łatwo mu zachorować, a trudno się wyleczyć.

— Dziadziu, a nikt z nas nie choruje na chorobę patafijską - powiedziała kiedyś Semiramida.

— Tak... Zrobiłem błąd poprzednio, że pojechałem sam. Je żeli człowiek jest sam i ma dookoła siebie ogromną masę całkiem innego myślenia niż własne, to może zrobić tylko dwie rzeczy: albo uciec, albo się przystosować. Pan Horacy uciekł, a ja się przystosowałem. Czasem poddanie się chorobie też jest przystosowaniem. No, a teraz nie byłem sam...

I tylko kapitan Aramis Frument miał trochę popsuty humor. Dwa dni po przybyciu do pana Horacego odebrał z Centrali radioszyfrogram:

BRR 27

gu **n**

gup Q

idi

W szyfrogramie użyto częściowo alfabetu greckiego, ponieważ prawdopodobnie w Patafii nie było nikogo, kto interesowałby się kulturą grecką i znał ten alfabet. „Żaden interes, nie można na tym zarobić” —jak powiedziałby każdy Patafianin.

Sądząc po ostrości sformułowań, autorem szyfrogramu mógł być sam ob. Ciach, widocznie dobrze poinformowany o burzliwych przygodach kapitana z gangsterami i policją... I bardzo z tych przygód niezadowolony.

Profesor pocieszył go, że ob. Ciach nie znał wszystkich okoliczności i że po powrocie sam wyjaśni sprawę w Centrali.

Jednego wieczoru Hadrian poprosił:

— Żeby pan opowiedział tę bajkę... Tę o wyspie bezludnej i o pieniądzach... Opowie pan? Ja im mówiłem, że ona jest taka ciekawa...

I pan Horacy dołożył drzewa do pieca, przymknął trochę drzwi-czki i zaczął opowiadać:

— ... Było to w czasach, kiedy o TYM już ludzie zaczęli zapominać, a TAMTO jeszcze się nie zaczęło.

vφ
μT

I był jeden wielki łąd, i drugi jeszcze większy łąd, a między nimi był ogromny ocean, a po oceanie płynął statek. Płynął od wielkiego łądu do jeszcze większego, a możliwe, że od jeszcze większego do wielkiego. Nie wiem dokładnie, bo jedni mówią tak, a inni odwrotnie. W każdym razie płynął, a na nim płynęli różni ludzie. Bogaci i biedni, uczeni i dwójarze, zakochani i zakatarzeni, muzycy i łysi. Był nawet jeden jąkała, co miał bardzo dobre serce i do wszystkich potrafił się uśmiechać. A to jest bardzo trudna sztuka uśmiechać się do wszystkich, tak prawdziwie.

Płynął ten statek i płynął, aż przyszła straszliwa burza i on się rozbił, i utonął. Rozbił się na skałach, blisko wyspy, która wystawała z samego środka wielkiego oceanu i nikt o niej jeszcze nie wiedział, ponieważ była nie po drodze.

Okręt tonął, a ludzie bili się koło jedynej łodzi ratunkowej, jaka została na statku. Każdy chciał wsiąść, szarpał i bił innych, i odpychał ich od tej łodzi.

Tylko jeden stał z boku i chciał powiedzieć: „Poczekajcie, bo ja mam lepszy pomysł” — ale to był ten jąkała, więc mówił: „Bo... ppo...**p...p**...pppo...”, a takie przemówienie nikogo nie może zainteresować, kiedy okręt tonie, bałwany z rykiem wdzierają się na pokład, a ludzie strasznie krzyczą, modlą się, płaczą i klną.

Więc ten jąkała znalazł kilka grubych desek i linę i zaczął z nich wiązać tratwę, a czterech takich, co się nie mogło dopchać do łodzi, zaczęło mu pomagać. Dowiązali jeszcze do tej tratwy kilka pustych beczek i już mogli płynąć.

I kiedy statek już szedł na dno razem z bijącą się załogą, a bałwany z rykiem podrzuciły tratwę pod chmury i z powrotem...

— Ojej, pod chmury?

— Tak, bo bałwany były wyjątkowo wysokie, a chmury leciały nad wodą wyjątkowo nisko. Więc kiedy... te bałwany, tę tratwę, pod te chmury, wyłowili jeszcze jednego nie dotopionego do końca łysego, który został wcześniej odepchnięty od łodzi ratunkowej. No i teraz było ich sześciu.

Wzburzone morze wyrzuciło ich razem z tratwą na brzeg wyspy. I uspokoiło się. A ta wyspa była bezludna.

No i teraz trzeba było jakoś zacząć żyć na tej wyspie, bo była nie po drodze i wiadomo było, że nieprędko ktoś do nich przybędzie.

— Albo nawet wcale nie — powiedział Hadrian.

— Albo nawet wcale nie. A tymczasem musieli gdzieś mieszkać, musieli coś jeść, musieli w coś się ubierać.

Najpierw zbudowali sobie szałas, każdy swój własny. Jeden szałas był duży, wygodny i mocny, ale pięć było byle jakich: ściana się waliła, dach przeciekał, drzwi nie chciały się dobrze zamykać.

Zaczęli polować i łowić ryby: ale jeden z nich przynosił tyle ryb, że nie mógł ich sam zjeść i musiał wyrzucać, a inni siedzieli całymi godzinami na tratwce i nie mogli niczego złowić. Za to jeden z kiepskich rybaków umiał to, co nie udawało się innym: tropić i chwycić dzikie zwierzęta, z których miał skóry i mięso.

Czwarty był doskonałym krawcem i potrafił z tych skór robić mocne i wygodne ubrania.

Piąty umiał, nie wiadomo skąd, lepić zgrabne garnki z gliny i wypalać je, a także robić narzędzia z krzemieni i kości zwierząt. Poza tym plół świetne koszyki. Inni tego wszystkiego nie umieli.

A szóstemu nic nie wychodziło, bo miał bardzo niezgrabne ręce. Ale umiał opowiadać mnóstwo ciekawych historii, które na poczekaniu wymyślał, śpiewać piosenki i grać na grzebieniu. No i siedział wieczorami trochę głodny w swoim nieudanym szałasie, w którym nic nie było, i śpiewał sobie.

A inni szli spać zmęczeni i czegoś im brakowało, byli niezadowoleni i myśleli niechętnie: „Jutro znowu te cholerne ryby trzeba łapać” albo „lepię te garnki i lepię, nie wiadomo po co tyle, a nic ciekawego się nie dzieje”.

Ale to nie trwało długo. Wszyscy widzieli, że coś jest nie tak, jak powinno, a jąkała pierwszy powiedział:

— W — wiecie, jja mam lee — lepszy pomysł.

I wyjaśnił im dokładnie, jaki to jest pomysł: żeby ktoś, kto nałowi dużo ryb, zaniósł połowę temu, który ma dużo mięsa. I mogą się zamienić. Wtedy jeden i drugi będzie miał bardziej urozmaicone jedzenie, a nie będzie musiał męczyć się na darmo, robiąc coś, czego nie umie dobrze.

A znowu ten, co umie świetnie budować, niech zbuduje dom temu, co robi garnki i koszyki, i dostanie od niego tych garnków i koszyków. I obydwaj będą mieli, co im potrzeba. A żaden nie będzie musiał w pocie czoła męczyć się nad rzeczami, które mu się nie udają.

I jeszcze może krawiec, który uszył kilka ubrań ze skór, zanieść jedno temu, co nie potrafi szyc i nic rękami nie potrafi porządnie zrobić. Ale za to będzie przychodził do niego wieczorem, opowiadał mu śmieszne historie i grał na grzebieniu, żeby mu było wesoło i żeby mu się nie nudziło.

I to był pierwszy pomysł jąkały. Wszyscy się ucieszyli, że tak będzie lepiej, i zaczęli tak właśnie robić.

Ale znowu nie trwało to długo. Bo jednego dnia krawiec poszedł do garncarza i poprosił:

— Zrób mi nowe garnki, bo mi się potłukły. Ja ci znowu zrobię ubranie.

A garncarz, co był majstrem od wszystkiego, tak mu na to powiedział:

— Ja już mam cztery ubrania na co dzień i jedno na niedzielę. Nie są mi potrzebne ubrania, tylko kości z upolowanych zwierząt do robienia nowych narzędzi.

A tych kości nie mógł dostać, bo myśliwemu nie były wcale potrzebne jego wyroby, tylko chciał, żeby budowniczy zrobił mu szopę do suszenia skór.

A budowniczy ostatnio jadł dużo mięsa i już mu się znudziło, i wolał teraz ryby, więc myśliwy musiał obejść się bez szopy, majster do wszystkiego musiał obejść się bez kości, a krawiec bez garnków.

Więc poszli do jąkały i powiedzieli mu, że to nie był najlepszy pomysł, żeby wymyślił coś lepszego.

— N-t-to z-zaczekajcie — powiedział jąkała i wszedł na pagórek, usiadł i zaczął myśleć, bo sprawa była coraz trudniejsza. Myślał i myślał, a rybak i myśliwy nosili mu jedzenie, żeby zanadto nie zgłodniał przez to myślenie.

Po dwóch dniach jąkała zszedł z pagórka i powiedział:

— J-jj-już. W-wymyśliłem.

I wymyślił, jak się wydawało, bardzo dobrze: żeby każdy robił

jak najwięcej tego, co najlepiej potrafi, i żeby rozdawał wszystkim potrzebującym. I sam też może chodzić do innych i brać od nich, co mu jest potrzebne.

— Teraz będziemy żyć jak w raju — ucieszyli się wszyscy i powiedzieli, że Jąkała jest bardzo mądry i że właściwie, jakby chciał zostać ich prezydentem, to niech powie, a oni go wybiorą. Jąkała chciał, więc go wybrali, a potem obmyślili flagę i hymn, i godło państwowe...

— A jakie było to godło?

— Już nie wiem, zapomniałem — zafrasował się pan Horacy. — Chyba było bardzo piękne. Uchwalili też konstytucję, w której na samym początku było, że od tej chwili istnieje na świecie najbardziej szczęśliwe i sprawiedliwe państwo. A potem do późnej nocy grali na grzebieniu, a potem spali do południa.

I wszystko byłoby dobrze, ale w drugim tygodniu od uchwalenia konstytucji przyszedł do prezydenta myśliwy z artystą i zaczęli skarżyć. Artysta skarżył, że on śpiewa i śpiewa, aż zachrył, a krawiec nie chciał mu uszyć nowego ubrania i powiedział niegrzecznie: „Nie musisz śpiewać, obejdzie się i w ogóle zjeżdżaj, bo ja nie mam czasu”. A myśliwy skarżył na rybaka, że łowi ryby tylko dla siebie, a chodzi i bierze sobie wszystko, co mu się chce. Inni też poświadczali, że bardzo mało ryb im daje, wykręca się, że on łowi, ale nie biorą, a tak naprawdę to nieraz widzieli, że śpi zamiast łowić.

A potem jeszcze się okazało, że artysta wciąż przychodzi po nowe garnki do garncarza i wszystko zabiera, że dla innych nic nie zostaje. Zakładał sobie kolekcję garnków, żeby ozdobić szalas. A inni nie mają w czym gotować obiadu.

Oczywiście krawiec i rybak zaczęli się wykręcać, że wcale nie tak było i że oni się przecież starają, a znowu artysta powiedział, że przecież w konstytucji nie było wcale napisane, do czego ma być garnek potrzebny, do kuchni czy do kolekcji. Więc on zgodnie z konstytucją bierze tyle, ile potrzebuje.

A wszyscy zaczęli krzyczeć, że konstytucja jest w takim razie do chrzcanu i żeby Jąkała wymyślił jeszcze lepszą konstytucję.

Jąkała był budowniczym, a ostatnio prezydentem, i powie-

dział, że dobrze, ale jak ma wciąż wymyślać i wymyślać nowe prawa, niech mu nie każą budować, bo to się nie da razem.

Wszyscy się zgodzili, że na razie nie musi, bo mieli już porządne domy i nie potrzebowali większych.

Wobec tego prezydent powiedział:

— No to z-zaczekajcie.

I wlaź na wielką górę, i siedział tam przez tydzień, i myślał, bo sprawa była jeszcze trudniejsza niż poprzednio.

Ta wielka góra była na samym końcu wyspy. Nikt na nią nie chodził, bo tam były gołe, strome skały i łatwo można było z nich spaść, prosto do morza. I nikt nie płynął tam tratwą, bo z morza też wystawały skały i głazy i fale mogły tratwę łatwo rozbić.

A prezydent nie mógł nic wymyślić, siedział i siedział, nogi mu zdrętwiały, zimno mu się zrobiło, więc trochę dla rozgrzewki, a trochę z ciekawości poszedł wspinać się po skałach. Jeden kamień się oberwał i prezydent zaczął spadać, ale złapał się po drodze jakiegoś krzaka i nic mu się nie stało, tylko się trochę podrapał i nabił sobie sińca. A z tego miejsca można było zejść na dół. Do góry się nie dało, bo była gładka skała.

No więc z wielką biedą zszedł prawie do samego morza. I znalazł tam coś bardzo ładnego: jakby gałązki, gładkie i błyszczące, pięknego czerwonego koloru. To były gałązki koralowców, które morze wyrzucało na brzeg i wciskało w szpary i zagłębienia skał.

Na całej wyspie nie było czegoś takiego. Tylko z tej niedostępnej strony, gdzie nikt nie chodził.

Prezydent nazbierał trochę gałązek, naładował nimi kieszenie i zaczął wspinać się do góry. Znalazł z boku takie miejsce, gdzie można było się wdrapać, choć z wielkim strachem.

A potem znów siedział na górze i myślał o sprawach państwowych: co zrobić, żeby wszyscy sprawiedliwie dostawali, czego potrzebują, i żeby nikt nie mógł brać od innych, a wykręcać się od dawania im rzeczy, które miał zrobić.

Myślał tak i bawił się tymi koralowcami, obracał je w palcach, łamał na kawałeczki, te kawałeczki układał na kamieniu równiutko, osobno duże, osobno małe.

I nagle wymyślił. Całkiem nagle i niespodziewanie. Wsypał

te kawałeczki korala do kieszeni i popędził na dół. Wpadł pędem pomiędzy domy, wszyscy myśleli, że prezydenta coś goni, więc się prędko pochowali do domów i tylko wystawiali nosy, ale prezydent biegał od jednej chaty do drugiej, walił pięścią w ściany i wołał wielkim głosem:

— Wy-wwy-wyłażcie! J-już w-wymyśliłem! P-pp-pierwszorzędnie wymyśliłem!

No to powychodzili z domów, okropnie zaciekawieni, a on powiedział:

— Z-zwołuję z-zzebranie, a potem poo-osiedzenie sejm, rządu i wszystkich o-obywateli.

I słusznie powiedział, bo najpierw się trzeba zebrać, a potem dopiero można posiedzieć.

Potem sejm, rząd i wszyscy obywatele usłyszeli projekt ustawy o gospodarce ekonomicznej-państwa:

Najpierw trzeba wiedzieć dokładnie, ile kto się napracował przy jakiejś potrzebnej rzeczy. I czy to była trudna praca. Niech każdy pójdzie i robi wszystko, co umie, i niech patrzy na zegar słoneczny: za każdą godzinę łatwej pracy niech sobie odłoży jeden kamyk, a za każdą godzinę trudnej pracy dwa kamyki. I potem będzie drugie posiedzenie sejm, rządu i obywateli.

Za parę dni powiedzieli, że już. Więc prezydent zwołał drugie zebranie i posiedzenie i każdego pytał, ile kamyków naskładał przy każdej robocie.

I mówili: złowienie dziesięciu ryb czasem dwa, a czasem trzy kamyki. Zrobienie garnka jeden kamyk, a koszyka trzy kamyki. Uszycie ubrania ze skór — osiem kamyków, upolowanie zająca — dwa kamyki, a wymyślenie nowej piosenki — cztery kamyki.

I tak po kolei wszystko. Prezydent to zapisywał, dopisał jeszcze na końcu: „budowa średniego domu —sześćdziesiąt kamyków”, i powiedział, że już teraz mają ceny. Bo cena to jest dokładna, zmierzona wartość tego, co ktoś zrobił dla innych. W każdym razie powinno tak być. No i wyrażona nie godzinami ani trudnościami, ale pieniędzmi. Ale tego oni jeszcze nie wiedzieli.

— No to co z tego? — powiedział sejm, rząd i wszyscy obywatele.

Prezydent cierpliwie wyjaśnił: że jak artysta wymyśli jedną piosenkę i zaśpiewa ją, dostanie cztery kamyki jako zaświadczenie, że dał innym swoją pracę o takiej właśnie wartości.

I z tym zaświadczeniem może iść do garncarza, dać mu cztery kamyki, a wzięć od niego cztery garnki. Garncarz będzie miał te kamyki — zaświadczenie, że zrobił dla kogoś cztery garnki — i może dostać za nie od rybaka dwadzieścia ryb. Albo dziesięć ryb od rybaka i jednego zająca od myśliwego.

I tak każdy od każdego może brać, co mu potrzebne, jeżeli sam coś zrobił dla innych: bo jak nie robił nic albo robił mało, to tych zaświadczeń — kamyków — nie będzie miał i nic nie dostanie.

— To były pieniądze... — powiedział Hadrian.

— No, jeszcze nie całkiem. Bo on im tłumaczył na przykładzie kamyków, które oni sobie sami uskładali. Ale łysy podniósł dwa palce, wstał i powiedział, że wszystko pięknie, tylko każdy sobie może nazbierać na plaży, ile chce takich kamyków, i nie musi nic robić, i będzie miał takie lewe zaświadczenia.

I wtedy prezydent powstał, podniósł rękę do góry, a kiedy naród się uciszył, powiedział:

— A gu-guza.

I wysypał na stół cały stos czerwonych kamyczków — koralu, których nikt nie mógł sobie nazbierać na plaży. I dopiero to były pieniądze.

Połowę tych pieniędzy prezydent podzielił na sześć części i rozdał wszystkim, żeby każdy miał na początek czym zaświadczać, że ktoś zrobił dla niego coś pożytecznego. To znaczy, żeby każdy miał czym płacić. A drugą połowę schował i powiedział, że to jest skarb państwa. Jak trzeba będzie dla wszystkich przyciągnąć wielką kłodę drzewa z lasu albo dla wszystkich wykopać wielki dół na śmieci, albo naprawić wspólną tratwę, to prezydent będzie brał czerwone kamyki z państwowej połówki i płacił nimi każdemu, kto pracował dla wszystkich.

— I to były normalne pensje — powiedziała Semiramida.

— Prawie. Bo pensja to jest przecież za stałą pracę dla innych ludzi.

— Ale on wypłacił te wszystkie kamyki państwowe i co?

— Wymyślił jeszcze, żeby każdy, jak dostanie od kogoś dzie-

się kamyczków za swoją pracę, przyniósł jeden i dał do skarbu państwa. Bo przecież za te pieniądze były robione prace dla wszystkich, i dla niego też. I to były podatki. Więc w ten sposób zawsze były pieniądze w kasie państwowej — troszkę więcej, troszkę mniej, ale najczęściej blisko **Dołowy**.

Teraz wszystko było porządnie i sprawiedliwie. Kto chciał korzystać z pracy innych, musiał sam dla innych porządnie pracować. I nie mógł nikt zgarniać wszystkiego dla siebie, a innym nic nie zostawiać.

— Ale... — wtrącił się Hadrian.

— No właśnie: ale. Wymyślił jąkała te pieniądze, żeby pomogły uporządkować sprawy ludzkiej pracy. Tak samo, jak wymyślono guziki, żeby pomogły utrzymać w porządku ubranie. I guziki do dzisiejszego dnia służą człowiekowi cicho i spokojnie i po prostu odpinają się albo zapinają, kiedy człowiek chce.

A pieniądze?

Leżały sobie w szałasie prezydenta na stole te czerwone kamyczki, czyli skarb państwa. I leżało na drugiej kupce kilka guzików. Była noc. Wszyscy spali, a tymczasem przyszła Chwila Dziwna i Niedobra. Nie wiadomo czemu przyszła. Może na niebie akurat gwiazdozbiór Karalucha wlaź w gwiazdozbiór Półmiska, a może Matka Ziemia najadła się przed zaśnięciem czegoś ciężko strawnego i miała złe sny — dosyć, że skądś wylazł i przyplątał się na wyspę jakiś ohydny paskud. Śmierdziało od niego na cztery mile morskie głupotą i złośliwością, a ten smród był taki duszący, że nikt nie mógł się zbudzić, rzucali się tylko wszyscy na posłaniach i jęczeli.

Paskud wgramolił się na wyspę — lepiej nie mówić, jak wyglądał, bo się może przyśnić — wlaź do pierwszego z brzegu szałasu jąkały, który był prezydentem. Oparł się trzema przednimi łapami o stół i zaczął węszyć. A tam leżały guziki i koralowe pieniądze.

Paskud nachylił łeb nad guzikami i powoli rozdziawił cuchnącą jamę gębową. Z tej jamy gębowej już zaczynała lecieć lepka, żółta ślina. Ale łypnął okiem w bok i dostrzegł pieniądze. I tak się stało, że guziki zostały uratowane i do dzisiejszego dnia służą ludziom uczciwie i skromnie. A pieniądze, tak samo niczemu nie

winne jak guziki, zostały oplute przez paskuda. I dopiero się zaczęło.

— To my już wiemy — szepnął Hadrian.

— Właśnie. Wiemy, jak to teraz wygląda. Ale nie wiemy, czemu tak jest. Najmądrzejsi uczeni świata badali potem sprawę i doszli do wniosku, że kiedy paskud napluje na jakąś rzecz zrobioną przez człowieka albo czasem na jego myśl...

— Jak można napluć na myśl?

— Paskudy potrafią. Więc, że taka opluta przez niego rzecz, którą człowiek zrobił, buntuje się człowiekowi, zaczyna żyć własnym życiem i nie spocznie, dopóki człowiek nie stanie się jej niewolnikiem. A jako niewolnik tej rzeczy — traci dostęp do wszystkiego, co dla niego dobre, ważne i sprawiedliwe, i zaczyna szkodzić sobie samemu i innym ludziom.

— Ja nawet wiem, jak ten paskud ma na imię — powiedział profesor.

— Jak, dziadziusiu, jak?

— Uczeni długo szukali, aż znaleźli jego metrykę z imieniem. Okazało się, że on się nazywa — Alienacja.

— Nawet ładne imię, chociaż w kalendarzu chyba go nie ma — mruknął Aramis.

— A jaki sposób może być na niego, dziadziusiu? Nie ma żadnego sposobu?

— Trzeba myśleć. On się tego bardzo boi. Myśleć rzetelnie, myśleć samodzielnie, wiedzieć, co myślą inni ludzie. Myśleć nie byle jak, ale właśnie naukowo. I musi myśleć wielu ludzi, nie wystarczy kilku samotników...

— A na tej wyspie, proszę pana, jak się skończyło?

— Nie skończyło się — uśmiechnął się smutno pan Horacy. — Bajka wplątała się w rzeczywistość i dzieje się dalej. Sześciu obywateli wyspy, w tym sejm, rząd i prezydent, kiedy tylko wzięli oplute pieniądze do ręki — stali się pierwszymi Patafianami. Przeszli myśleć o tym, jak robić dla siebie i drugich rzeczy pożyteczne, wygodne, ładne, przestali pamiętać o tym, że sprawiedliwość dla wszystkich — to dobre i łatwe życie dla wszystkich. A zaczęli myśleć, jakimi sposobami zdobyć jak najwięcej pieniędzy. Te sposoby widzieliśmy wszyscy, nie raz i nie

dwa razy. Po co opowiadać. I wszystkim było bardzo źle, smutno, niewygodnie, niespokojnie. Byle jak zrobione garnki pękały, zwierzyzna została wytępiona, bo myśliwy chciał zarobić straszną masę pieniędzy, koślawe ubrania były robione z łaski, za coraz większą opłatą, wyspa była zaśmiecona, bo nikt nie chciał za normalne państwowe pensje pracować dla wszystkich, i tak żyli coraz gorzej, choć tych pieniędzy mieli coraz więcej. Prezydent nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Znosił ze Skalnej Zatoki coraz nowe korale i przybywało ich, a rzeczy służących ludziom wcale nie przybywało. Były tylko coraz droższe, coraz gorsze, coraz bardziej oszukane.

— Tak... — pan Horacy zamyślił się przez chwilę. — A najgorsze ze wszystkiego było to, że zaczęli wszyscy patrzeć na siebie nie jak na ludzi, których można lubić, ale jak na worki, z których można wyciągnąć pieniądze.

— „Człowiek człowiekowi kieszenia” — tak mówił ten dziadek, co ostrzył noże...

— Tak mówił? To dobrze mówił... Więc, jak powiadam, bajka dzieje się dalej.

— I do akcji muszą wkraczać psychiatrzy — powiedział profesor. — Już nie wystarczą ekonomiści i socjologowie.

— Hy, psychiatrzy...

— Tak, moje dziecko. Jesteśmy tutaj coraz bardziej potrzebni.

— Dziadziusiu, ale ci psychiatrzy nie wiedzą, co to za choroba?

— Znamy już sporo objawów, znamy niektóre przyczyny, próbujemy porównywać z innymi chorobami psychicznymi... Ale to wciąż mało, nawet co do nazwy uczeni nie mogą się pogodzić.

— A jakie są nazwy?

— Nazwy zależą od tego, do jakiej grupy chorób zaliczy się tę dolegliwość. A to jest trudne, bo chyba jest to zespół kilku chorób naraz. Bo i ergofobia, a więc coś z nerwic...

— Ergofobia? Ojej...

— To znaczy: pracowstręt. Niektórzy Patafianie dostają nawet wysypki, jeżeli coś ich zmusi do porządnej roboty. A wysypka to jest reakcja alergiczna. Widzisz, jakie to skomplikowane?

— No, okropnie... A, dziadziu, a to bredzenie w kółko o pieniądzech?

— Są różne zdania. Szkoła Hycburska chce tu widzieć zupełnie odrębną jednostkę chorobową, którą nazywa „szmalofrenią”. Ja w moich pracach staram się udowodnić, że prawdziwa szmalofrenia zdarza się dosyć rzadko. A to, co widzimy dookoła, to są zaburzenia osobowości, graniczące w niektórych przypadkach z psychozą, z psychozą maniacką...

— Nic nie rozumiem.

— Sama widzisz, jak trudno wytłumaczyć wszystko od początku. Ja się tego przecież uczyłem przez trzydzieści osiem lat. A ty chcesz wiedzieć od razu.

— Ale choć trochę.

— No, więc maniak to taki człowiek, który bardzo uparcie wierzy w coś, co na zdrowy rozum wcale nie ma sensu. I wciąż o tym myśli, i wciąż w kółko powtarza, i wciąż tylko tym żyje. A jeżeli to jest rzecz, która dla innych ludzi może być czymś ważnym, to chory może być bardzo szkodliwy dla innych i dla siebie. I wtedy mówi się, że choruje na „psychozę maniacką”. Dlatego ja zaproponowałem nazwy: „szmalomania” i „szmalomaniak”. Choć zgodzę się, że „szmalofrenik” brzmi ciekawiej...

— Proszę pana, ale skąd dokąd bajka, a jak naprawdę było?

— Hadrian pociągnął pana Horacego za rękaw.

— Hm, bajka jest tak wymyślona, żeby było najbardziej prosto widać, o co naprawdę chodzi. Dlaczego pieniądze są potrzebne. I czy są ważne, czy trochę, czy wcale nie. A w rzeczywistości jest tak, że odkąd tylko ludzie zaczęli dzielić się swoją pracą, byli już uczciwi i nieuczciwi, myślący i bezmyślni.

Profesor poprawił ogień pod kuchnią i powiedział:

— W Grecji tak bardzo starożytnej, że nie było jeszcze historii, tylko legendy, był już taki gangster Jazon, co zorganizował specjalną wyprawę, żeby ukraść komuś pieniądze. Nawet został sławny, bo tak dzielnie kradł i tak dzielnie potem zwiewał z tym Złotym Runem... Bohaterem go za to zrobili...

— Złote Runo?

— Aha. Bo ludzie na samym początku nie płacili sobie kamyczkami ani koralami, tylko czymś, co każdy może mieć i co

każdemu jest potrzebne. Więc u jednych to były chustki, nazywały się wtedy „płaty”, „płacidła” i stąd się wzięło słowo „płacić”. U innych sztaby żelaza, z których można było robić narzędzia i broń: „obole” albo „grzywny”. U jeszcze innych skóry. W tej Grecji to były skóry baranie z wełną. Ale potem wynaleźli złoto i zaczęli z niego robić pieniądze. I te pierwsze pieniądze miały kształt skóry baraniej, tak na pamiątkę. Więc dlatego „Złote Runo”. Bo runo to właśnie barania wełna.

— A mi szkoda tego jękały, on był fajny... — powiedział Hadrian. — Tak się starał, żeby wszystko było sprawiedliwie... I nawet tych innych też mi szkoda.

— Aha, a chciałeś wszystko niszczyć Patafianom i nawet ich zabijać. I niszczyć pieniądze, co przecież były dobrze wymyślone. A jakby ta... Alienacja napluła na guziki, to niszczyłbyś guziki ludziom?

— Strach pomyśleć, co by to było, jakby Alienacja napluła na guziki i guziki zaczęłyby nami rządzić... — mruknął Aramis.

— Ja już nie chcę niczego niszczyć ani nikomu nic złego robić — powiedział Hadrian ze zmarszczonymi brwiami. — Nie bój się. Tak powiedziałem, a ty zaraz.

— Aha, a kto załatwił szklarnię i sześć gablot?

— Pięć. I się już nie czepiaj, wiesz.

Westchnął i za chwilę powiedział:

— No, ale przecież tak całkiem spokojnie patrzeć, co oni wyrabiają, to się nie da...

Rozdział dwudziesty piąty, w którym musimy razem ze wszystkimi poważnie niepokoić się przemianami duchowymi terrorysty

To było tak: Hadrian nie potrafił nigdy powiedzieć: „A tam, niech będzie, jak chce, co mnie obchodzi. Mi nie zależy”.

Zależało mu na czymś zawsze, zależało mu bardzo.

Gdyby był otoczony sportowcami, pewnie by nie spoczął, póki nie zdobyłby jakiegoś pierwszego albo choć drugiego miejsca w zawodach.

Gdyby znalazł się między gangsterami i gdyby im wierzył — byłby gangsterem najbardziej odważnym i brutalnym, no i pewnie nieuczciwym, bo przecież nie da się być uczciwym gangsterem.

Gdyby...

Takie różne możliwości wymyślała Semiramida z profesorem, bo byli bardzo niespokojni i chcieli przewidzieć, co on znowu wykombinuje.

Teraz był między nimi, a oni myśleli stale o tym, czemu pieniądze rządzą ludźmi, a nie ludzie pieniędzmi. A on sam już wcześniej też o tym myślał. I przez te pieniądze nie miał taty, tylko miśka Pumpę. A teraz chodził z błyszczącymi oczami, nie bardzo słyszał, co do niego mówią, uszy miał czerwone, a wieczorami długo nie mógł zasnąć.

I przestał chodzić na wycieczki, i przestał się bawić.

— Przedtem mógł zajmować się różnymi rzeczami dlatego, bo myślał, że wie, co ma robić — tłumaczył profesor.

— O tym niszczeniu pieniędzy?

— Tak. Jak się dokładnie wie, czego się chce, to można się nawet spokojnie bawić. A jak się musi od nowa dowiedzieć, nie ma się spokoju, dopóki się nie dowie...

— Tylu ludzi nic nie obchodzi, jaki jest świat, a jego tak okropnie obchodzi, jakby to było sto obchodzeń, a nie jedno.

— Właśnie tak jest — pokiwał głową profesor. — Przejmowanie się albo chęć poprawienia czegoś na świecie to jest taki niewygodny ciężar. Nawet tak mówią o nim: „Ciężar odpowiedzialności”. Dziesięciu ludzi nie ma ochoty go nieść i wyrzucają go gdzieś do rowu, idą dalej lekko i się nie przejmują. A odpowiedzialność nie może istnieć tak sama dla siebie, bez żadnego człowieka. Więc przyczepia się do takiego, co jej na pewno nie wyrzuci. I on już musi wtedy nieść dziesięć odpowiedzialności. Za siebie i za tamtych.

— Ale to jest dosyć okropnie — powiedziała Semiramida.

— Tak, ciężko. Więc się szarpie, więc się potyka, czasem przewraca. Czasem potrafi wiele zmienić na lepsze, wtedy tamci, co swoją odpowiedzialność wyrzucili, stawiają mu pomnik i fotografują się na tle tego pomnika. A czasem mu się nie udaje i tamci go szczypią, aż mu się wszystkiego odechce... A czasem

robi głupstwa, bo źle sobie wymyślił, co ma robić — i krzywdzi ludzi, choć z początku chciał dobrze.

— Właśnie. A my wciąż się tylko musimy o takich martwić — burknęła Semiramida.

— My?

— No przecież ty, dziadziusiu, nie jesteś kobietą.

— Aha: kobiety...

— No cool Tu nie ma nic do śmiania! — wrzasnęła Semiramida j uciekła. Profesor poskrobał się za uchem czubkiem palca i poszedł rąbać drzewo.

A Hadrian siedział w domu i czytał. Pan Horacy miał mnóstwo książek, niektóre takie grube i takie mądre, że całkiem nie było z nich nic wiadomo. Więc pan Horacy musiał sam znajdować w nich najważniejsze miejsca i tłumaczyć po trochu, swoimi własnymi słowami. Co wymyślił który filozof albo prorok, żeby ludzie byli mądrzejsi.

Bo Hadriana teraz ogromnie interesowali filozofowie i prorocy. Semiramida była z tego powodu coraz bardziej zmartwiona.

— Cie pępek, bzika dostanie, całkiem bzika dostanie, co ja z nim mam, z tym moim terrorystą...

Ale najgorsze przyszło w jeden czwartek po południu. Hadrian zamknął się w szopie z drewnem, wziął tam ze sobą grubą Biblię, ołówek i papier i nie chciał wyjść. Na próżno Semiramida dobijała się do szopy, na darmo profesor przekonywał go przez dziurę od sęka. Hadrian powiedział, że nie wolno mu przeszkadzać, bo on układa nowe przykazania. Bo tamte były wymyślone dla starożytnych ludzi i teraz nie są już takie najlepsze. Tak powiedział.

Stali wszyscy pod szopą i patrzyli to na siebie, to na zamknięte drzwi. Wreszcie profesor stwierdził:

— Trzeba mu dać spokój. Niech ułoży te przykazania. I broń Boże, żeby ktoś się śmiał z niego. Ja się nim zajmę, powoli z tego wyjdziemy.

Hadrian wylazł z szopy dopiero wieczorem, naburmuszony i zły.

— I co, masz już te przykazania? — spytała Semiramida.

— Odchrzań się. Myślisz, że to tak łatwo.

Zamyślił się i powiedział powoli:

— Ten biblijny Mojżesz wcale nie siedział w szopie. On wlaź na taką wielką górę...

I rzucił pod piec kulkę zmiętych papierów.

A na drugi dzień znikł. Chodzili, wołali, bez skutku. Nie było go nigdzie. Znikł też chlebak, misiek Pumpa i jeden szary koc pana Horacego.

Wychodziło na to, że Hadrian postanowił zostać prorokiem.

Rozdział dwudziesty szósty, który zaznajamia nas z nową wersją dziesięciorga przykazań, a kończy się ekspedycją ratunkową

Semiramida prostowała pomięte papiery, wyrzucone przez Hadriana pod piec, wygładzała je ręką i próbowała odczytać.

— ... „Nie będziesz... nie będziesz wyrywał worka z pieniędzmi z żadnej dziury...” Przekreślone: „Nie będziesz psuł ani zatrzymał dla zarobku masła ani pomidora, ani rządnej żeczy ktura jego jest...” no całkiem zgłupiał, on naprawdę przykazania zaczął układać...

Semiramida rzuciła kartkę i nagle się rozbeczała.

— Nie dosyć, że terrorysta, to jeszcze prorok... Yyy, no zrób coś, dziadziusiu, zrób coś, bo ja już nie wiem... Albo rewolucję kulturalną urządza i szyby tłucze, albo nowe religie wymyśla, yyy, jak go dopadnę, to go tak spiorę, że zobaczyyy...

Aramis podniósł z ziemi pomięte papierki i czytał dalej:

— „Szanuj twojego ojca i matkę, jak jest za co, a jak nie ma za co, to chociaż na nich nie klnij, bo co ci z tego przyjdzie”. Przekreślone „nie klnij”, poprawione na „nie złożecz”, przez „ż”. To chyba całkiem rozsądne przykazanie.

Dalej: „Nie pożądaj żony bliźniego twego nadaremno”. Przekreślono.

— Co, co proszę? — Profesor obudził się z zamyślenia.

— Żony bliźniego, nadaremno. Coś mu się chyba pokręciło, ale skreślił. Za to następne jest podkreślone i wzięte w ramkę.

Przecież bardzo mądre przykazanie, wprowadzie nic nowego, ale bardziej, powiedziałbym, przekonywająco ujęte: „Będziesz lubił wszystkich ludzi całkiem tak, jak siebie, i oni wszyscy też muszą tak samo, to będziecie długo żyli i dobrze się wam będzie powodziło na ziemi”.

Semiramida pociągnęła nosem głośno i mokro.

— No dobra i co jeszcze?

— „Nie będziesz miał bogów pieniędżowych przede mną”. Przekreślone. „Nie będziesz się modlił do pieniędzy”. Przekreślone. „Nie będzie pieniądż twoim bogiem” i jeszcze pod spodem „Nie będziesz pragnął pieniędzy najbardziej ze wszystkiego, musisz mieć chociaż kilka większych pragnień”. Podkreślone grubą krechą. Patrzcie: naprawdę chłopak się nad tym napracował.

— I wcale to nie jest głupie — powiedział profesor. — To ostatnie właśnie.

— „Nie będziesz wychodził na SWOJE”.

— „Nie będziesz chociaż przeszkadzał, jak ktoś chce coś dobrego zrobić dla ludziów”. Przekreślone „ludziów” i poprawione na „ludzi”.

„Nie będziesz udawał, że pracujesz, jak ci się nic nie chce robić”.

„Nie będziesz udawał, że nie widzisz, jak coś jest źle”.

— To już wszystkie przykazania?

— Nie, jeszcze jedna kartka. Aha, zostawił Mojżeszowi dwa przykazania bez zmian. „Nie zabijaj” — zostawił, „Nie cu”... oj, co on napisał? „Nie cudzousz” i — przekreślone. „Nie kradnij” — zostawił. To już wszystko.

— Zapomniał chyba o fałszywym świadectwie — przypomniał profesor.

— Chyba zapomniał, ale to nie jest ostateczna wersja, on te kartki przecież wyrzucił...

— Pewnie, że ułoży jeszcze lepsze, wszystko tam będzie, zobaczycie! — Semiramida już zapomniała, że miała sprać proka. — Ale gdzie on polaził?

— Może jednak poszedłbym go poszukać — powiedział ci-

cho pan Horacy. — On może pójść w świat z tymi przykazaniami i ktoś mu zrobi krzywdę. Jest teraz pod moją opieką.

— To chyba wszyscy pójdziemy — powiedział profesor. — Pan też, panie Aramisie?

— Cały czas jestem do pańskiej dyspozycji, panie profesorze. Jeżeli nasza misja...

Kapitan wiedział, co to jest służba, i był bardzo obowiązkowy. Ale ucieszył się, że profesor postanowił pójść.

— Nasza misja, nasza misja. A tam dziecko samo, między obcymi i niemądrymi ludźmi. Zresztą już dawno nie robiłem obserwacji Patafian, a Patafian na wczasach prawie wcale nie.

Wzięli plecaki, koce, trochę jedzenia na drogę, zamknęli chatkę i poszli.

— On mówił, że chce wleźć na jakąś górę, bo Mojżesz wchodził, jak pisał te przykazania...

Stanęli i rozejrzeli się bezradnie. Czego jak czego, ale gór tutaj nie brakowało. Na której z nich mógł siedzieć prorok Hadrian?

— Może zacznijmy od Siwej Góry... — zastanawiał się pan Horacy. — Nie tak dawno temu opowiadałem Hadrianowi, co ludzie tutejsi mówią: że komuś, kiedyś — pokazało się tam coś siwego...

— Komu?

— Kiedy?

— Co? — zapytali równocześnie wszyscy troje.

— Prawdę mówiąc, nie wiem, bo każdy tubylec opowiadał coś zupełnie innego... Ale wszyscy zgadzali się, która to góra, i pokazałem ją Hadrianowi ze szczytu Cymbergaja jeszcze tydzień temu. A ze szczytu Siwej Góry schodzi się z boczem prosto do Podpikla.

Szli cały dzień, dotarli na Siwą Górę, przeszukali cały szczyt. Hadriana nie było. Dopiero poniżej szczytu, na spłachetku piasku wypłukanego spomiędzy kamieni, kapitan znalazł odciski tramppek, które były podobne do Hadrianowych. Schodziły w stronę Podpikla.

Poszli więc tą samą ścieżką i niedługo weszli w las. Było późno, robił się już mrok.

Rozdział dwudziesty siódmy, ogromnie hałaśliwy i denerwujący, z którego wynika wyraźnie, że zawód proroka jest jeszcze trudniejszy od zawodu terrorysty, co zresztą ludzkość już dawno stwierdziła

Już z daleka słyhać było monotonny stukot i szum w dolinie pod nimi. Nie widzieli nic, las wszystko zasłaniał, ale wiadomo było, że zbliżają się do Podpikła, bo hałas był coraz wyraźniejszy. Najpierw dał się odróżnić rytmiczny łoskot perkusji, a później słyhać było już muzykę. Nie było w niej melodii, za to wiele rytmu i pojedynczych, głośnych jęków saksofonu.

— Trochę mnie to drażni, odzwyczaiłem się — mruknął profesor i potknął się w ciemnościach o jakiś korzeń. Mieli tylko jedną latarkę kapitana. — O psiakość, co za ciemności.

— To już niedaleko, jeszcze z pięć kilometrów — powiedział pan Horacy.

Od czasu do czasu stawali i wołali Hadriana. Nikt się nie odzywał. Semiramida zmęczona i przygnębiona pociągała nosem.

Las się skończył. Pod nimi widać było światła Podpikła, cała dolina błyszczała światłami. Niektóre były kolorowe. Kilkanaście kolorowych reflektorów, bardzo silnych, migotało na skraju miasta równo z rytmem perkusji. A muzykę bez melodii słyhać było teraz tak wyraźnie, jakby była całkiem blisko.

— Jakieś święto mają, jakąś zabawę czy co?...

— Dziadziusiu — Semiramida pociągnęła profesora za rękaw — dziadziusiu, to jest dosyć okropna muzyka, tak jakby różne instrumenty krzyczały, bo ten głos bębnow je bije i one już nie mogą wytrzymać, i krzyczą...

— Tak — powiedział pan Horacy. — W muzyce chciałoby się słyheć coś dobrego. Czy to piosenka, czy koncert. A w tej nie słyhać. Ona jest jakaś obłąkana...

— Ale trzeba iść, Hadrian może tam być — powiedział kapitan. — Proponuję, żebyście postawili tutaj namiot, a ja zejdę go poszukać. Poradzę sobie, miewałem już trudniejsze zadania.

Zakrzyczeli go. Wykluczone, wszyscy muszą szukać Hadriana. Może wtedy prędzej go znajdą. A jeżeli się pogubią, zbiórka tutaj, na brzegu lasu pod Siwą Górą.

Po trzech kwadransach byli już na placu, gdzie odbywała się zabawa. Ryk i łomot gigantofonów był tak okropny, że nie było słycać ludzkiego głosu. Semiramida chwyciła profesora za szyję i krzyknęła mu do ucha:

— Dziadziu, jak to powietrze ciężko stęka, ono nie może tego wytrzymać! Ono się skarży!

Tłum zasłaniał wszystko, tysiące postaci to czarnych, to na przemian zjawiających się w różnych kolorach oślepiających reflektorów: tłumy trupioniebieskie, tłumy krwawoczerwone, tłumy jadowiciezielone.

Semiramida przypomniała sobie kolory mgły, schodzącej przed wieczorem z przełęczy w Dolinę Zapomnianą —i nagle strasznie zapagnęła uciec stąd, uciec jak najszybciej.

Kapitan chwycił za ramiona profesora i pana Horacego, potem pokazał palcem w tłum i zamachał ręką przecząco, domyślili się: tutaj nie da się ani znaleźć Hadriana, ani dowiedzieć się, czy ktoś go nie widział. Potem pokazał na dom wczasowy stojący obok placu: był wielopiętrowy i miał wielkie balkony —tarasy.

Ruszyli za Aramisem. Dostali się do wnętrza z łatwością, wyjechali windą na piąte piętro i znaleźli drzwi prowadzące na taras. Były zamknięte. Kapitan rozejrzał się dookoła, wyjął, z bocznej kieszeni plecaka jakiś drobiazg, przyłożył do zamka, nacisnął klamkę — drzwi cicho się otwały.

Teraz widać było wszystko pod nimi. W samym środku tłumy podium z orkiestrą, dziesiątki mikrofonów, potężne kolumny z głośnikami.

Kapitan wyjął lornetkę. Patrzyli po kolei. Na spoconych z wysiłku muzyków, na ludzi kłębiących się dookoła podium w rytmicznych drgawkach.

— Dziadziusiu, zobacz, przecież żaden z tych ludzi nie ma przytomnej twarzy — Semiramida podała lornetkę profesorowi.

Rzeczywiście, chociaż każdy Patafianin skakał i skręcał się, jakby go bił niewidzialny bokser, twarze były nieruchome, oczy wyglądały jak oczy ludzi niewidomych, a usta czasem zaciśnięte, czasem otwarte, często wykręczone jak w bólu.

Profesor wyciągnął z plecaka swój aurometr i skierował go w stronę tłumy. W przyrządzie coś zasyczało, trzasnęło i zaczęło dymić.

— O mój Boże — zmartwił się profesor i schował aurometr z powrotem. Ale nikt go nie usłyszał.

Aramis przeszukiwał uważnie tłum przez lornetkę. Odłożył ją na chwilę, wyjął z plecaka opatrunek, wyskubał trochę waty i nabił sobie nią uszy. Potem zrobił kilka przysiadów i głębokich wdechów i dalej szukał w tłumie Hadriana.

Na estradę wbiegło kilku dziwnie ubranych ludzi, których twarzy nie było widać spod uwłosienia, i jeden zupełnie łysy, tylko z włosami związanymi na karku zieloną kokardką. To była najnowsza moda. Łysy złapał mikrofon, wykonał kilka podskoków i obrotów, potem nagle przykucnął i zaczął krzyczeć, a gigantofony wyolbrzymiały jego głos, aż do szczytów niewidocznych gór:

— Zamiast chleba — zgorzkniały gniot

Ja tobie, a ty mnie — e — eee...

Owoc z trutką wszczepioną w sok

Ja tobie, a ty mnie — e — eee...

Zamiast domu barak krzywy.

Przy baraku gruz, pokrzywy

Ja tobie — a ty mnie — e — eee...

Do pieśni przyłączył się jeden brodaty:

— Ale ty masz szmal i dasz mi coś skorzystać,

Ale ja mam szmal i dam ci coś wyłudzić.

Drugi brodaty zakrzyczał cienko:

— Serce znieczulisz,

Uśmiech zagasisz —

Pieniachów szelest

Ci za to zapłaci.

Dla szmalu żyjesz chyba, nie dla ludziiii...

Teraz śpiewał już cały zespół, a Patafianie na placu rytmicznie bili brawo.

— Szmalu, szmalu, szmalu,

Jedyna myśl, jedyny cel.

Szmalu, szmalu, szmalu.

Kombinuj, zliczaj, mnoż i dziel.

Szmalu, szmalu, szmalu,

Od codziennego trudu stroń.

Za szmaleem

W kółkoo

Gooń!...

— Ooń... oń... oń... — poszło echo po górach.

— Ojeej... — szepnęła Semiramida. — Ojeej...

A łysy śpiewał dalej:

— Zamiast rzeki — cuchnący ściek

Ja tobie, a ty mnie — e — eee...

Zgnojony ropą morza brzeg

Ja tobie, a ty mnie — e — eee...

Brunatna naoliwiona

Śmierć się czai w megatonach

Na ciebie i na mnie — e — eee...

— Ale ty masz szmal i dasz mi coś skorzystać,

Ale ja mam szmal... — zawtórował znowu brodaty i nagle umilkł, bo na estradę wbiegło coś niewielkiego, okręconego w szary koc związany sznurkiem w pasie. Jo coś wyrwało mu mikrofon z ręki i zaczęło krzyczeć cienkim głosem, a góry powtarzały każde ostatnie słowo:

— Ludu Patafii, opamiętaj się! Opamiętajcie się, bo zginiecie! Jesteście strasznie chorzy! Słuchajcie mojego głosu, bó to jest głos prawdy! Słuchajcie głosu proroka! Dzień straszliwej katastrofy się zbliża, dzień sądu i zatracenia! Ratujcie swoje nieszczęśliwe dusze — i prorok zakrztusił się od wytężonego krzyku, a góry zakrztusiły się echem razem z nim.

Tłum, który z początku znieruchomiał, wrzasnął teraz tysiącem głosów, rozległy się brawa. Na podium wyskoczył facet w smokingu, chwycił drugi mikrofon i zaczął wołać:

— Prooopańsstwa, przedstawiam państwu przebojową postać sezonu, proroka Chandrakuka! — wymyślił na oczekaniu imię, bo to był konferansjer z refleksem. — Każdy z państwa stwierdzi, że tego jeszcze nie było w naszych imprezach rozrywkowych. Kierownictwo naszej imprezy doszło do wniosku, że należy również zadbać o dusze naszych obywateli, albowiem jak wszystkim wiadomo, dusza jest ostatnio szalenie modna...

Hadrian szarpnął się z całej siły, wyrwał się konferansjerowi i zaczął znów krzyczeć w mikrofon:

— Jeżeli jest między wami choć dziesięciu sprawiedliwych ludzi, to ja ich wołam, ja ich wołam...

Wrzask tysięcy Patafian zagłuszył głos proroka, choć spotęgowany głośnikami. Hadrian rozejrzył się bezradnie dookoła, nagle wyciągnął spod swojego koca kawałek sporej deski i podniósł ją wysoko ponad głowę. Na desce były widoczne jakieś napisy.

Na estradę wskoczyły dwie dziewczyny z długimi włosami, wyrwały prorokowi deskę, chwyciły go za ręce i zaczęły z nim tańczyć. Szarpały biedakiem tam i z powrotem, orkiestra zaczęła znów grzmieć w instrumenty, tłum ryczał i klaskał.

Spod koca coś wypadło na estradę. Konferansjer podbiegł szybko i podniósł ponad głowę niewielkiego miśka z wytartym futerkiem.

— A oto, propaństwa... aauuu! —zawył i przykucnął, bo go coś ugryzło w nogę. — Moja noga, moja noga — skakał na jednej nodze, a że nie wypuścił z ręki mikrofonu, po górach poszło znów echo:

— Oga... oga... oga...

Jakaś mała postać chwyciła miśka i szmyrgnęła w dół. Równocześnie ktoś wysoki chwycił proroka na ręce i zręcznie zeskończył z nim z estrady.

Profesor z panem Horacym dopiero teraz obejrzel się za siebie: no tak, nawet nie zauważyli, kiedy Aramis wybiegł z tarasu, a za nim Semiramida.

Teraz przedzierali się z trudem przez tłum, który zgęstniał koło nich. Na estradę wdrapywały się setki ludzi, żeby zobaczyć, co się dalej będzie działo, ryknął głucho rozdierany bęben, potoczyły się talerze. Muzycy uciekali, trzymając instrumenty nad głowami.

Reflektory przestały migać i świeciły teraz czerwono.

Kapitan postawił Hadriana na ziemi, krzyknął: —Trzymać się mnie! — i zaczął torować sobie drogę łokciami. Było coraz trudniej, ludzie nie chcieli ustępować, dziesiątki rąk wyciągały się po Hadriana i Semiramidę.

Z tyłu za nimi rozległ się okropny trzask, zawaliła się estrada. Ludzie rzucili się w tamtym kierunku, koło kapitana zrobiło się

trochę luźniej. Jeszcze kilka mocnych pchnięć i wydostali się wszyscy na otwartą przestrzeń. Ktoś za nimi zaczął biec, ale że pogasły wszystkie światła, szybko zgubili go w ciemnościach.

Zatrzymali się dopiero pod lasem, na zboczu Siwej Góry. Byli bardzo zmęczeni, nic nie mówili. Tylko Hadrian szepnął:

— Pumpa...

— Masz tu, masz twojego miśka, proroku Chandrakuku — Semiramida podała mu Pumpę. — I na drugi raz nie mieszaj go w takie rzeczy. Co on winien.

— Ojej... — Hadrian otworzył szeroko oczy. — A jak ty jego...

— Jak, jak — zezłościła się Semiramida. — Musiałam odgryźć nogę temu cacydupkowi w smokingu, żeby go puścił. No, prawie odgryźć.

Hadrian objął mocno Semiramidę za szyję, ona przytuliła się do niego. A nad nimi mrugały spokojnie gwiazdy. Tutaj znowu było je widać.

Migoczący w mroku iskierkami rozdział dwudziesty ósmy, który pozwala uwierzyć, że są jednak lepsze sposoby na chorobę patafijską niż tłuczenie szyb, głoszenie prorocत्व albo wążchanie kwiatów i granie na cymbałkach

Znów chodzili na borówki, znów budowali tamy na potoku. Ale Semiramida była bardzo zmartwiona: Hadrian wszystko robił tak jakoś bez ochoty. O, tak tylko, bo ona chciała. Sam najchętniej siedział na słońku, obejmował rękami kolana i nic nie mówił.

Czasem zerwał jakąś trawę i gryzł ją powoli, czasem wężał kwiatek całe pół godziny, a czasem dłubał patykiem dołek w ziemi. I tyle.

— Ale może byś powiedział, co ty znowu chcesz wymyślić? Nikomu nie powiesz? Mnie też nie powiesz?

Podniósł powoli głowę.

— Nie bój się. Już nic nie wymyślam. Nic nie będę wymyślał, nigdy.

— Ale chcesz coś robić przecież. Mówisz, że tak całkiem spokojnie nie da się patrzeć na tych Patafian, że trzeba coś robić.

— Właśnie że już umiem patrzeć spokojnie. I już nie będę nic robił. W ogóle nic, rozumiesz? Sobie będę siedział i wachał kwiatki. Chodź, wachaj ze mną.

— Tak całkiem nic nie robić potrafisz?

— No, nie całkiem nic. Wąchanie kwiatka to też jest zajęcie. Chyba nie gorsze od bicia się o pieniądze. Albo cymbałki. Kupię sobie cymbałki i będę grał. Dzwoneczki sobie pozawieszam na ubraniu i będę grał i brzęczał przy każdym kroku. No, co, nie fajnie?

— A ludzie w Patafii?

— Przecież oni koniecznie chcą zwariować, a potem pewnie zginąć. Co ja na to poradzę. Niech sobie wariują niech giną, a jak już będę musiał, zginę razem z nimi, no i już, nie ma sprawy.

— Zginę, zginę, ty głupku, jak ci dosunę, to zobaczysz, bohater się znalazł, będzie wachał kwiatki, dzwonił dzwoneczkami i ginął.

— Co się czepiasz? —popatrzył na nią poważnie. —Zawsze się tylko wściekasz. Jak chcę niszczyć wszystko, co ludzi zamienia w chodzące kieszenie — to źle. Jak chcę ich lubić i coś prawdziwego im powiedzieć — to źle. Jak nic nie chcę, to też źle.

— To jest najgorzej ze wszystkiego, wiesz?

Hadrian wzruszył ramionami.

— No to co mam robić? Wymyśl, jakieś taka mądra. Można zacząć gromadzić pieniądze, samochody, tunery Hi-Fi, handlować mormulami i zakładać w domu boazerię. Tak chcesz?

— To już najgorsze od tamtego najgorszego.

— No to czego chcesz w takim razie?

— Żebyś mnie trochę lubił — powiedziała Semiramida i rozbeczła się, a potem uciekła.

Hadrian patrzył za nią długo, a potem wstał i poszedł jej szukać.

Wieczorem w górze potoku paliło się niewielkie ognisko. Profesor z Aramisem piłowali drzewo przed domem i rozmawiali o czymś z wielkim przejęciem. Więc pan Horacy sam poszedł zo-

baczyć, co jego dzieci robią. Tak właśnie jakoś mu się pomyślało: „Te moje dzieci”.

Szedł w górę potoku i z daleka zobaczył, że oboje siedzą przy ogniu, przytuleni do siebie, i że Hadrian głaszcze Semiramidę po głowie, tak pomalutku i bardzo delikatnie. Więc pan Horacy już z d¹ zaczął chrząkać, a potem głośno podśpiewywać. Żeby wiedzieli, że ktoś idzie.

Popatrzyli w jego stronę i siedzieli sobie dalej, wcale się nie poruszyli. „Za dawnych czasów tak nie bywało” — pomyślał pan Horacy i uświadomił sobie, że za dawnych czasów dorosły, i to w dodatku nauczyciel, powinien był albo zacząć krzyczeć, albo przynajmniej szybko zorganizować jakąś wesołą zabawę, żeby dzieci nie mogły się do siebie przytulić. „Kto to widział, żeby...” — tak się to mówiło. No a teraz pan Horacy widział i stwierdził, że właśnie jest to jeden z ładniejszych widoków, jakie można zobaczyć na ziemi.

Hadrian uśmiechnął się i powiedział:

— Fajnie, że pan przyszedł. Opowie pan coś, dobra?

I pan Horacy zaczął opowiadać o tym, co sobie pomyślał: jak było dawniej. Ile rzeczy nie wolno było dzieciom. O tym, jak je wciąż z byle powodu bito: różgą, paskiem, dyscypliną. I wszyscy uważali, że tak właśnie jest w porządku.

O tym, jak nie mógł chłopak z dziewczyną iść na spacer bez kogoś dorosłego, bo to było „nieprzyzwoicie” i „nie wypadało”.

I o tym, że jak dorosła dziewczyna urodziła dziecko, a nie miała męża, to jej wszyscy dokuczali, że jest „niemoralna”, a dziecko przezywali „bękart” i uważali je za gorsze od innych dzieci. I o różnych takich bzdurach pan Horacy opowiadał, na które wydawało się, że nie ma żadnej rady. Bo prawie wszyscy ludzie w nie wierzyli i mało było takich, którzy odważyli się mówić, że to są bzdury.

— Ale jednak byli. Byli bardzo uparci i bardzo cierpliwi. I potrafili, jak mówi pan profesor, myśleć naukowo i potrafili w końcu wszystkim wytłumaczyć, że tak jest głupio. No, prawie wszystkim...

— Dużo można zmienić — mówił pan Horacy. — Tylko parę rzeczy potrzeba. A najważniejsze: cierpliwość i upór. Żeby się

nie zrażać byle czym. Nie da się tak, to próbować inaczej. I jeszcze ta, o której mówi pan profesor: naukowe myślenie.

— A pan?

Pan Horacy spuścił głowę i po chwili powiedział:

— Tak, to prawda. Uciekłem. Ale może dlatego, że nie widziałem żadnego człowieka koło siebie podobnie myślącego? A teraz już myślę o tym, jak wrócić i do jakiej pracy się zabrać. Bo jeszcze jedna jest bardzo ważna rzecz, jak się chce coś zmienić: nie można być samemu. Trzeba wspólnie z innymi, którym tak samo zależy.

— A co pan teraz będzie robił?

— Profesor Pstrix powiedział, że mam talent popularyzatorski. To znaczy, że potrafię trudne rzeczy opowiadać tak prosto, że wszyscy wiedzą, o co chodzi. I tak sobie myślałem, że mógłbym spróbować bardzo mądre i trudne do przeczytania książki profesora pisać od nowa tak, żeby były łatwe do przeczytania dla wszystkich ludzi. I dorosłych, i niedorosłych też. A właśnie profesor pisze książki o ludziach, czemu są tacy i co im utrudnia być innymi. Jak wszyscy będą to wiedzieć i rozumieć, na pewno okaże się, że sprawiedliwych jest o wiele więcej, niż się wydaje... I oni pomogą znowu dalej, i znów będą tłumaczyć innym. Tak z rozumem, tak naukowo. Ale ja tak sobie gadam, a was może to już nudzi...

Hadrian chwycił go za rękę.

— Nie. Niech pan mówi, niech pan mówi.

Więc pan Horacy opowiadał znowu o dawnych i obecnych czasach i mówił, dlaczego dawniej ludzie słuchali proroków, a teraz się z nich śmieją. Mówił, w co najchętniej ludzie wierzą, i mówił, jak z każdym rozmawiać, żeby chciał słuchać. Opowiadał jeszcze, jakie sposoby mają specjaliści od reklamy handlowej i jak im się świetnie udaje przekonywanie ludzi. Mówił o politykach, kiedy im wszyscy wierzą, a kiedy nie.

Ogienek sobie powoli przygasał, a oni siedzieli bliźutko siebie i trzymali się za ręce.

— Z nami nikt tak nie rozmawia. „Idź się bawić”, „Lekcje już odrobiłaś?”, „Co tam w szkole?”, „Znowu spodnie pobrudzone”. I tyle. No, jeszcze „Co ci kupić na imieniny?”.

— Chyba właśnie z wami najbardziej trzeba o tym wszystkim rozmawiać — zamyślił się pan Horacy. — Bo z dorosłymi, to często jest za późno: wiedzą już co innego i są tak przyzwyczajeni, że trudno im zmienić myślenie od samego początku.

Coś za nimi zaszurgotało.

— Dziadziuś przyszedł — powiedziała Semiramida.

— Przyniosłem koc, bo może wam chłodno — zarzucił obojgu szary koc na plecy.

Hadrian otulił starannie Semiramidę.

— Już nie ma proroka Chandrakuka — powiedział, bo to był właśnie ten koc. — Ale się ze mnie nie śmiejcie, co?

Rozdział dwudziesty dziewiąty, który mówi o pożegnaniach, a więc musi w nim być trochę żalu i trochę nadziei, a prócz tego po raz ostatni każe podziwiać boczną kieszeń plecaka kapitana Aramisa Frumenta

Gazety donosiły o dziwnych wydarzeniach w Podpiklu, na pewno policja znów była zaniepokojona. Aurometr był przepalony, trzeba było go naprawić. Bez niego nie dało się prowadzić dalszych badań. Semiramida za kilka dni zaczynała rok szkolny, Hadrian oczywiście też.

Z tego wszystkiego wynikało, że druga wyprawa badawcza profesora Pstrixa musiała się zakończyć.

Więc szli teraz w stronę granicy, która była niedaleko, i wciąż jeszcze nie chcieli im się pożegnać, chociaż musieli. Hadrian z panem Horacym też wracali z Gór Milczących do swoich dawnych domów.

Wszystkim było jakoś dziwnie, jakoś niewyraźnie, jakoś przykro. Dopiero profesor powiedział:

— To była chyba najlepsza moja podróż naukowa. Zawsze wyjeżdżałem sam i jakoś mi to wystarczało. A teraz zobaczyłem, jak to jest dobrze — nie być samemu w trudnej podróży.

— Chyba wszyscy przekonaliśmy się o tym — powiedział pan Horacy i zaczął chrząkać, a potem wytarł nos.

Aramis pomyślał, że dla niego też coś się zmieniło: był do-

skonałym i sprawnym wywiadowcą specjalnym BRR 27. Ale niczym więcej. Wykonywał rozkazy, nie zastanawiał się nad nimi zbyt wiele. Nie musiał ich rozumieć, bo po co. I nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać o wszystkim, i nikogo, o kim mógłby powiedzieć: „Ten człowiek jest dla mnie bardzo ważny, ja go bardzo lubię”. A teraz miał już czworo takich ludzi. I chyba dlatego czuł się czymś więcej, niż BRR 27.

Tak sobie myślał, ale nic nie powiedział, bo zawsze uczono go działać zręcznie i błyskawicznie, ale przemawiać nikt go nie uczył.

— Jak mi nie będziesz pisał, to zobaczysz — pociągnęła nosem Semiramida .

— Przecież będę... Ty... chcesz? No to masz... Niech on wyjedzie za granicę i się nauczy waszej mowy, bo ja jeszcze nie zdążyłem... To się nim opiekuj, pamiętaj... Przyjedziecie razem za rok.

I Pumpa powędrował do plecaka Semiramidy. A ona się całym rozbeczała.

Profesor popatrzył zatroskany.

— Dziwne... Ona nigdy nie płakała, strasznie była rogata dusza. A teraz jakaś taka wrażliwa się zrobiła...

— Dziwi się pan? — mruknął pan Horacy.

— Tak, no tak... Dobrze, więc tak, jak mówiliśmy: pierwszą paczkę z książkami przyślę zaraz w przyszłym tygodniu i niech pan zabiera się do pracy.

— Tak, panie profesorze.

— I niech pan nie kaszle.

— Chyba że się przeziębę. Ale to jest inny kaszel i szybko przechodzi. Tamten już nie wróci.

— I niech pan się... hm, hm... Niech pan się opiekuje tym chłopaczkiem... To jest wspaniały człowiek, proszę pana, tylko on nie może być sam...

— Przecież wiem — powiedział cicho pan Horacy.

Granica była już blisko. Semiramida schowała okulary i włożyła spódniczkę, profesor ogolony na gładko zupełnie nie był podobny do uczonego z bródką. Mogli iść spokojnie ścieżką do przejścia granicznego. Tylko kapitan, który wyglądał zgodnie

z rysopisem i miał przy sobie plecak z nie bardzo turystyczną bocznią kieszenią, musiał sobie jakoś inaczej poradzić. Powiedział, że ich dogoni — i już go nie było.

— Teraz już mamy dokładne rozeznanie, wiemy, czego można się po tym kraju spodziewać — powiedział profesor. — I ukrywanie się, i udawanie kogo innego nie będzie na nic potrzebne. Przyjedziemy następnym razem zupełnie legalnie i nie będziemy już sprawiać tyle kłopotu biednym Patafianom.

— A kiedy, dziadziusiu, kiedy?

— Chciałbym jak najszybciej, ale chyba będę musiał zaczekać do następnych wakacji. Wiesz... hm, hm... Wolę jechać z tobą, a nie sam. No, dziecko drogie, co ty wyrabiasz, byłabyś mnie przewróciła. Ojejejej, okulary mi spadły, widzisz.

— Dziadziusiu, a... a wujek Aramis?

— Cóż, rozumiesz, jego praca... on jako tajny wywiadowca nie będzie mógł być z nami wydelegowany. Chyba, żeby dostał dłuższy urlop, a ja bym wtedy po prostu załatwił... Hm, hm. No, pomyślimy. To jest bardzo porządny człowiek, bardzo.

Szli i szli cały czas w dół i prawie nie zauważyli, jak przeszli przez mostek z kolorowym szlabanem. Strażnik patafijski przyjrzał im się uważnie, obejrzał dokumenty, oddał bez słowa i włączył z powrotem do budki. Ich własny zasalutował, uśmiechnął się i pokazał ręką, żeby przeszli.

W przygranicznej wiosce na przystanku stał okropnie brudny autobus. Widocznie zakurzył się, a potem jechał przez deszcz, bo brudne smugi i zacieki pokrywały szyby.

Na ławeczce siedziało kilkanaścioro ludzi, przeważnie turyści. Jakaś dziewczyna powiedziała:

— Hej, chcemy sobie umyć ten wehikuł? Będzie się przyjemniej jechało...

I za chwilę już cała grupa pań, panów, dzieci i staruszków szorowała autobus, jak swój własny samochód. Szczotki na kijach, wiaderka i ścierki były w specjalnej szafce na każdym końcowym przystanku, właśnie do tego celu.

— Teraz wiem, że już jesteśmy u siebie — powiedziała Semiramida. — Wyobrażasz sobie w Patafii coś takiego, dziadziusiu?

— Tak... — zamyślił się profesor. — Ale wiesz co, trochę się

tam jednak podtrułem: przez chwilę wydało mi się to dziwaczne, że oni tak bez pieniędzy, wcale nie ich prywatny autobus... I widzisz, nawet nie pomogłem w tym myciu.

— Proszę kupować bilety, zaraz jedziemy! —zawołał kierowca. Ludzie zaczęli podchodzić do kasy. Kasa była na przystanku: stolik, na którym leżały bilety z nazwami miejscowości, i taca z pieniędzmi. Kasjer nie był potrzebny, pasażerowie sami brali bilety, kładli pieniądze na tacy i wydawali sobie resztę.

— To też ci się wydaje teraz dziwne, dziadziu?

— Też... Tak człowiek odwykł od normalnych rzeczy, że wydają się nienormalne... — szepnął profesor i zamyślił się.

— Już wszyscy? Jedziemy! —zawołał kierowca. Autobus zappełnił się ludźmi i powoli wyjechał na szosę.

— A pan Aramis mówił, że nas dogoni — i jednak nie zdążył...

— Jak powiedziała, że dogoni, to dogoni — powiedziała z pewnością Semiramida. — O, zdaje się, że właśnie goni...

Pasażerowie coś sobie pokazywali przez okna, przykucali i zadzierali głowy do góry.

— Samolot! Ptak! Jakiś dziwny szybowiec! Nie, to lotnia! Lotnia, lotnia!

Pomarańczowy trójkąt na niebie szybko ich doganiał.

— Lotnia? Z taką szybkością —dziwił się ktoś w autobusie.

— No, pewnie pomaga sobie tym swoim termosem odrzutowym — mruknęła Semiramida. — Miał jeszcze trzy takie.

— I on potrafi latać na takiej lotni? —nie mógł uwierzyć profesor.

— Przecież on wszystko potrafi, dziadziusiu.

Lotnia przeleciała nisko nad drzewami z dużą szybkością, wyprzedziła autobus i wylądowała pół kilometra przed nimi, na łące obok szosy. Zanim zatrzymali się na przystanku, kapitan już tam stał z pomarańczowym pakunkiem w ręce i spokojnie czekał.

— No dobrze, ale skąd on nagle wziął tę lotnię? — nie mógł się nadziwić profesor.

— Jak to skąd? —Semiramida wzruszyła ramionami. — Z bocznej kieszeni plecaka.

Rozdział trzydziesty i ostatni, w którym wszyscy sobie już odjechali, a zostali tylko na przystanku autobusowym: ten, co tę książkę właśnie przeczytał, i ten, co ją napisał

Kapitan wskoczył do autobusu. Autobus ruszył. Na przystanku został jakiś człowiek z dużym notatnikiem w ręce, stał przy szosie i patrzył, jak wszyscy troje odjeżdżają. Podniósł rękę, chciał coś zawołać — ale zrezygnował i tylko podrapał się po głowie.

A kiedy autobus znikł za zakrętem, usiadł na ławeczce i otworzył notatnik. Był cały zabazgrany zielonym atramentem, dosyć nieczytelnym pismem. Ostatnie napisane słowa były takie:

— „Jak to skąd — wzruszyła ramionami Semiramida. — Z bocznej kieszeni plecaka”.

To ja je napisałem...

Odjechali mi wszyscy troje tym autobusem, no i tak zostałem, na przystanku. A bardzo ich polubiłem przez ten czas, kiedy byłem z nimi i spisywałem ich przygody. Oczywiście nic o mnie nie wiedzieli.

Nie zostałem sam, bo z Tobą.

Wiesz, zawsze, kiedy coś piszę, bardzo żałuję, że nie mogę Ciebie widzieć, jak czytasz, ani słyszeć, co potem mówisz. Jakoś mi tego brakuje. Bo nie piszę przecież tak tylko, dla samej przyjemności pisania. Opowiadam coś albo rozmawiam z Tobą o tym, co sobie myślę, o różnych trudnych sprawach.

A nawet nie wiem, kim jesteś i jak wyglądasz.

Teraz próbuję zgadywać, co sobie myślisz. Możesz pytać na przykład tak, jak zapytał terrorysta Hadrian pana Horacego, kiedy bajka się zakończyła: „Czy tak jest naprawdę? Skąd dokąd bajka? Co jest »odpatrzone« od życia, a co jest wymyślone?”

Chyba rozumiesz, że nie żyjemy w Patafii. Patafianie w swoim kraju na pewno nie pozwoliliby wydrukować takiej książki. I nie istnieje kraj, gdzie byliby tacy ludzie, a między nimi zaledwie trzech innych: dziadek ostrzący noże, stary nauczyciel i chłopak, który nie może się z wieloma sprawami pogodzić.

Ale są Patafianie i jest choroba patafijska. Nie w jakimś jednym

kraju: oni są wszędzie, na całym świecie. I są też pomiędzy nami, widzisz ich na co dzień.

W książce, żeby bardzo wyraźnie pokazać, czym się różnią od nas, trzeba było ich trochę sztucznie zgarnąć do jednego, wymyślonego państwa i opisać, co się w takim państwie może dziać, jeżeli będą w nim sami „szmalomaniacy”.

Nie, nie jesteśmy Patafią. Ale Patafian jest już u nas zbyt wielu. Jeżeli się z tym pogodzimy, to wcale nie jest pewne, czy nie zostaniemy mieszkańcami takiej Patafii...

Słucham jeszcze i nie mogę dosłyszeć (słucham tak w wyobraźni) — czy to Ty pytasz, czy ktoś inny:

— Dlaczego ta książka nie ma zakończenia? Pojechali, no i co? Nic nie zmienili w tej Patafii? To nie mogli na koniec znaleźć jakiegoś cudownego lekarstwa na chorobę patafijską, tę „szmalofrenię” — jak ją nazwała psychiatria szkoły Hycburskiej? Przecież można było chyba takie lekarstwo wyciągnąć z bocznej kieszeni plecaka i książka przynajmniej by się porządnie skończyła.

Nic z tego... Tutaj właśnie nie możemy się czarować boczną kieszenią plecaka. To byłoby trochę nie w porządku. Historia dzieje się dalej: rozejrzyj się tylko dookoła. A ciąg dalszy...

Trudno, w tym miejscu uczciwość każe podejść do lustra i zapytać: od kogo zależy ten ciąg dalszy? Ten w życiu, nie na papierze?

Zaraz zamknę kołnotatnik, w którym tyle kartek nieczytelnie zapisałem (nie potrafię pisać szybko i równocześnie ładnie). A Ty zamkniesz książkę.

Ale przecież może gdzieś, kiedyś się spotkamy, świat nie jest taki bardzo duży.

Czasem mi się tak zdaje, że trzymamy go w rękach.